Polacy na Syberyi

i

Powstanie nad Bajkałem.

Spisane przez

Naocznego Świadka.

W POZNANIU.

CZCIONKAMI I W KOMISIE W. SIMONA. PIEKARY 7.

1878.

Buriaci stepu tunkińskiego. — Wieś Tunka i pobyt w niéj kapłanów polskich od r. 1866—1875.

Smutny, przygnębiony żywota upałem
Siedziałem na skale i w dół patrzałem,
Fala *Ihehunu* *) u stóp się roztrąca,
Nad głową kula ogniem ciskająca.
A *Irkut* szalony w blizkości ryczy,
Tu Buriat, tu niedźwiédź, tu żmija syczy,
Jednak przeszłości jasne niebo przede mną,
Chociaż na sercu i na duszy ciemno.

I.

Przenoszę się nad Bajkał, morzem zwany przez tuziemców. Okolony on niebotycznemi górami, a ich szczyty, kąpiące się w atmosferze, z przeciwncgo brzegu pięknie malują się na horyzoncie. Przy zakończeniu swojém ma szérokości mil 7, i wodę słodką posiada. Głębokość jego pomimo najusilniejszego starania p. Benedykta Dybowskiego, wygnańca' profesora głównéj szkoły warszawskiéj, autora wielu broszur wydawanych po niemiecku z dziedziny ichtyologii, fauny i flory sybiryjskiéj, nie jest dokładnie zbadana; są to otchłanie morkie, pomimo to, że nosi nazwisko jeziora. Otóż ze wsi *Kultuka*, położonéj nad jego brzegiem, wyruszyliśmy na południe, i wdzierając się po szczytach gór, z jednych na drugie, to znowuż jadąc parowami, w których światło słońca zaledwie kilka godzin świéci, po cztérech dniach podróży ujrzeliśmy z głębi lasów ukazującą nam się płaszczyznę, okoloną ze strony północnéj górami, złożonemi z ostrych trójkątów, a z południowéj owalnemi, jajkowatemi. Były to właśnie *góry Sajańskie* południowe, stanowiące rządową granicę od Mongolii.

Płaszczyzna cała, ów step mający około 30 mil kwadratowych, skropiony przez rzéki *Tunkę* i *Irkut*, zamieszkany jest przez Buriatów, odłam szczepu mongolskiego, wyznawców Buddhy, którego zwolennicy wyparci zostali niegdyś przez

*) Ihehun, rzéczka w Tunce.

Brahmanów z nadgangeskich Indyi. Prowadzą oni życie koczownicze, i w lecie i w zimie mieszkają w *jurtach* (namiotach). Zajmują się chowem stad, polowaniem i rybołóstwem, a niektórzy nawet i rólnictwem. Dzielą się na rody, niby *gentes* rzymskie.

Buriat jest wzrostu średniego, cery bronzowéj, spłaszczonego nosa, małego czarnego i ukośnego oka, tuszy zazwyczaj średniéj i czarnego włosa na głowie. Mężczyzni noszą jeden warkocz, na końcu którego znajduje się zawsze metalowa łyżeczka, służąca do oczyszczenia ucha; kobiéty mężatki splatają swe kędziory na dwa warkocze, a dziewice noszą ich tyle, na ile obfitość włosów może pozwolić.

Rasa ta, gdzie element obcy nie został jeszcze przymieszany, tak jest jednolitą, że z trudnością jednę od drugiéj osoby rozpoznać można. W czasie podróży do Tunki nocowałem w *jurcie*, i gdy sąsiadka zawołała moję gospodynią do siebie, po powrocie, gdy obiedwie usiadły przy buchającém ognisku, nie mógłem wiedziéć, która z nich jest moją gospodynią. U nich wszystko jedno i toż samo; też same rysy twarzy, takiż sam ubiór, takiż kapelusz, takaż sama fajeczka metalowa, mozajkowana, zwana przez nich *ganzą* i pochodząca z państwa niebieskiego; takiż sam woreczek skórzany, napełniony korą modrzewiową lub sosnową do palenia, słowem, wszystko jedno i toż samo. Zwyczaj i obyczaj u bogatych i ubogich Buriatów jeden i tenże sam; postęp europejski daleki jeszcze od nich.

Przy ujściu rzéki *Tunki* do *Irkutu*, po obu stronach tych dwóch rzék, rozsiadła się *wieś Tunka*, któréj mieszkańcy składają się z tuziemców i plemienia napływowego. Język panujący jest w niéj rosyjski, ale każdy mieszkaniec obadwa posiada i wyznania jest carskiego. Podczas dészczu spływa z gór błoto, a na linią demarkacyjną państwową wszelki męt społeczny. Tu kraniec chrześcijaństwa a początek buddhyzmu, więc wszelkie wady, ułomności, występki, a niekiedy narowy godne pogardy lub téż litości, znajdują grunt bujny dla siebie i wydają owoc stokrotny. Buriat im daléj w kniei gór miészka i nie zna rosyjskiego języka, a czci tylko swoich *burhanów* (bogów), tym więcéj jest szlachetny, go-

ścinniejszy; przeciwnie, znający język rosyjski, w podstępie, zbrodni, demoralizacyi przechodzi naszego kulturträgera. Obojętność, czczość, próżnia zajęły jego serce; stracił jedno, a nie dano mu drugiego; pozostał tedy na nawie wichrów, burz, namiętności własnych, bez żadnego sternika w życiu swojém.

W téj Tunce, przeznaczonéj na mieszkanie dla duchowieństwa z całéj wschodniéj Syberyi, mieliśmy wszystko: lud zabobonny, chciwy, podstępny, zdradziecki, niedowierzający, pałający nienawiścią i pogardą dla nas, i z tego tytułu naszę prostoduszność drogo opłaciliśmy. To naturalna w jego usposobieniu, wskutek położenia krańcowego dwóch światów; wieść rozpuszczona, jako bylibyśmy ludożércami, podniesioną została do potęgi, a jednakże potrzeba było żyć!

Klimat tunkiński nader zmienny. W Czerwcu ze 40 stopni w południe po zachodzie słońca spada do zera. W atmosferze cisza; naraz rozlega się z dala szum lasu, składającego się z sosny, brzozy, modrzewiu, czeremchy; to zapowiednia burzy. Nareszcie powstają kłęby piasku; to uragan pędzi i szumi i ryczy i wyje; znajdujące się na stepie lżejsze przedmioty zabierze na swoje ramiona i parowem uniesie je do Mongolii. Te burze, uragany, peryodycznie powtarzają się w miesiącach Maju i Wrześniu. Koniec Czerwca i początek Lipca mają żar podzwrotnikowy, ale pomimo to nocy tunkińskie, a nawet w ogóle syberyjskie, bywają chłodne. Kożuch dobry w lecie zawsze potrzebny. Ostateczności się stykają; upałom w Czerwcu i w Lipcu odpowiadają Grudniowe i Styczniowe mrozy; i jak podczas najwyższych upałów panuje cisza, toż samo się dzieje podczas najsroższych mrozów. W lecie ognista kula przeszło 18 godzin rzuca ogniem na spiekłą ziemię, a w całéj atmosferze tumany miasmów i waporów, unoszących się z błót i bagien, z dodatkiem miliardów różnokształtnych i różnobarwnych owadów; w zimie zaledwo słońce z lekka ukaże się nad południowemi górami, i na pozostały czas znika potém z horyzontu, i im wyższy, sroższy mróz, tém głębsza i grubsza mgła, wydawana przez roślinność, zalega okolicę. W tym czasie jakaś duszność, jakby brak powietrza daje się uczuwać. W tych ostateczno-

ściach klimatu taka cisza panuje, iż płomień świécy na wolném powietrzu nie zadrga nawet. Śniegi w Tunce w małéj ilości spadają, gdy w innych okolicach bywają tak głębokie, że koń spędzony z drogi utartéj niechybnie w nich zatonie, na co własnemi oczyma patrzałem. Jak straszne mrozy panują na tunkińskim stepie, opowiém wypadek następujący. Tu każdy z nas własną ręką wszystko robił; otóż w czasie najwyższych mrozów udałem się z *tujazem* *) do rzéki po wodę. Zastałem już tam kolegę, z którym chwilkę pogawędziwszy, gdy przez nieostrożność część wody wylałem i w takową wstąpiłem, straciłem podeszwy od butów. W czasie takich mrozów wrzątek wody, wylany w powietrze, lodem spada na ziemię z wielkiém syczeniem. Odmrożenie jakiéjkolwiek części ciała nader często się zdarza; w tém całe szczęście, że to nagle następuje, albowiem po pewnym przeciągu czasu część odmrożona opada, a młoda skórka się pokazuje.

Mieszkańcy Tunki zajmują sję rólnictwem; sieją żyto jare, pszenicę, jęczmień, owies, o hreczce nawet nie słyszeli, a groch zaledwie znają. Ziemia jest bujna, ale klimat zabójczy. Że zaś z powodu późnéj wiosny sieją dopiéro przy końcu Maja i na początku Czerwca, a sporadycznie w piérwszych dniach Siérpnia bywa mróz, to najczęściéj się trafia, iż zawięzujące się ziarnko w kłosie mróz zmrozi. Nie dosyć tego; jeżeli z przyczyny szczęśliwego położenia gruntu zboże mogłoby dojrzéć, to czy od ziemi cieplejszéj, czy zimniejszéj, czy téż od okalających rolą borów zależy, iż spada zawsze pewna materyja żywiczna klejista, zwana przez mieszkańców *pomchą*, która ziarnko spali. Jedliśmy chléb z takiego zboża; nie było innego, chyba tylko bardzo wyjątkowo. Jest on niesmaczny, niezdrowy, gliniasty, ale i za takową mąkę żółtą, drobnoziarnistą jak proszek, płaciliśmy funt 1 po groszy 12. Nie było innéj, a nawet i takiéj z trudnością można było dostać.

W Tunce były dwie cerkwie: jedna drewniana, druga

---

*) *Tujaz*, naczynie z brzozy, jakby worek, szyty łykiem; służy do noszenia wody.

murowana; było także kilka sklepów z rozmaitemi towarami, dokąd wszyscy stepowcy po nie przybywali. Ztąd to codziennymi byli jéj gośćmi, na swoich małych, krótkich wiérzchowcach; bez względu na porę roku zawsze śpiéwają ulubiony swój narodowy poemat: *jochor, jochor, jochorjo* itd. (pójdźmy, pójdźmy śpiéwać; śpiéwając cieszymy się). Ton jego równy, gładki jak step, a przeciągły jak szum lasu, bo myśl i serce człowieka układa się zawsze do otaczającéj go natury. Treść jego jest zwykle wzięta z życia ludu. Oto naprzykład: „Dwóch młodzieńców na dzielnych rumakach zajeżdżają przed jurtę po trzeciego, a tak samotrzeć wyruszają w step, w konkury, o dobicie targu przyszłéj połowicy życia. Ze zgiełkiem, wrzawą, hałasem przybywają do jurty rodziców przyszłéj małżonki, ale powód ich przybycia gdzieś ukryty, i zgodziwszy się za nię dostawić np. krów 10, owiec 30, koni 5 i *mungu* (pieniędzy) rs. 120, robią sami poszukiwanie, które najczęściéj długo nie trwa. Skoro ją znajdą, już natenczas ubraną w szaty odświętne, po małym oporze wsadzają ją na koń, i wszyscy zadowolnieni z zakończenia interesu, ze śmiéchem i radością odprowadzają pannę młodą do jurty mężowskiéj.“

Buriaci wiele artykułów żywności nam dostarczali, więc od jednego z nich, a głównie od jego małżonki, powziąłem tu ich pieśń, jedyną w całym tym złomie mongolskim.

Są oni nader gościnni, i gospodarz jurty przyjmował mnie jako rzadkiego gościa *tarasunem* (*tarasun*, jest to wyskok z krowiego i kobylego kwaśnego mléka, i dwa razy przepędzony, traci smak serwatki i dosyć jest mocny, ale w skutkach swoich zdrowszy od zwyczajnego alkoholu); daléj *sałamakiem*, to jest ciastem upieczoném na śmietanie, i herbatą *kirpiczną* (cegiełkową), zaprawną mąką pszenną, masłem nietopioném, mlékiem i solą, którą zwróciłem za jurtą, jako własność gospodarza. Jurta, jest to kwadrat lub pięciokąt drewniany, z otworem u góry i pokryty ziemią. Na środku jéj wiecznie ogień płonie; kocieł żelazny, oparty na kamieniach nad ogniskiem, w którym gotują herbatę; warząchew żelazna; kilkanaście chińskich drewnianych miseczek do picia; konew z kory brzozowéj, zwana *tujaz;* parę beczułek, w które zléwają mléko na ferment, zwany u nich *ossą;* dwie

półki, na których się mieszczą inne narzędzia niezbędne stepowcom, ot i wszystkie sprzęty w jurcie.

Naprzeciw drzwi na lewéj stronie od wchodu umieszczony jest na ścianie bóg (*burhan*) metalowy z rogami, a niekiedy malowany na drzewie, najczęściéj w postawie niewiasty siedzącéj i otoczonéj wszystkiemi płodami natury. Przed tym burhanem, przybitym do ściany, są schódki, na których stoją metalowe naczyńka w kształcie wazek, napełnione wszystkiemi owocami ziemi. U pobożniejszych a zasobnych ciągle kadzidło się pali przed burhanem.

Każdy lud ma pewne formy przy powitaniu nieznajomych, a témbardziéj gościa. Buriat, jako *tała* (przyjaciel), ciekawy wiedziéć, jak się mają żona, dzieci, sąsiedzi, stada, tabuny, więc na wszystkie pytania stereotypowym terminem odpowiadałem *myndu*, że są zdrowi. Jest to forma, od któréj gospodarzowi odstąpić nie wolno a zarazem i gościowi, jeżeli nie chce dać o sobie wątpliwego wyobrażenia, że nie jest *tałą* (przyjacielem). Zazwyczaj po takiéj formalności można przystąpić do interesu. Buriaci nie mają ławek; sposób turecki siedzenia zastępuje takowe. Zrobiono mi więc miejsce przy ognisku po tych pytaniach wzajemnych i odpowiedziach. Poczém gospodarzowi przeróżne rzucałem pytania, aby się coś dowiedziéć o ich dziejach, ale na żadne nie miałem zadowalniającéj odpowiedzi. Po każdém mojém pytaniu usłyszałem tylko wyraz *ugej* (nie wiém nic). Istotnie Buriaci nic o sobie nie wiedzą; buddhyzm swoją formalistyką okuł ich moralnie i fizycznie. Wieki poprzednie ciężą na nich i przerażają ich, jak te sajańskie iglice straszą wędrowca swoją wielkością i olbrzymemi kształty.

Nie wszyscy są jednożenni; prawo ani zwyczaj nie zabraniają miéć kilku towarzyszek życia, byle tylko środki były po temu i oddzielnie miészkały. Żony kupują się jako sprzęt domowy, potrzebny do gospodarstwa; nie masz tu mowy pomiędzy niemi o uczuciach serca; ono uważane jest za illuzyją, fikcyją, za absurd, o którym nawet nie mają pojęcia. Ztąd to Buriat, mający kilka córek, uważany jest za bogatego; dobroć ich i wartość moralna nic nie znaczy; znakomicie szalę przeważają nadzieja potomstwa i siły fizyczne.

Z należności przyjętéj za córkę rodzice przyszłemu jéj małżonkowi dają pewną część takowéj, czyli posag dla niéj, zwany *kałym*, ale na wypadek nieporozumienia pomiędzy małżonkami pełném prawem mogą się i mieniem i dziatwą podzielić, a następnie inne związki zawiérać. Ten zwyczaj kupowania sobie żon przeszedł od Buriatów i do plemienia słowiańskiego zesłańców; od rs. 5 do 15, to stała cena za przyszłą żonę. Czy to nie jest naigrawanie się najpotworniejsze z najświętszych rzeczy, jakiemi są miłość i uczucie serca? a są to fakta jawne, pewne, niezbite.

Człowiek w szeregu pokoleń ulega akklimatyzacyi. Buriaci, chociaż są synami południa, jednakże z upływem wieków zaabsorbowani zostali przez groźną, zadumaną północ. W czasie najtęższych mrozów wyznawca Buddhy na otwartém powietrzu najspokojniéj zasypia i śpi snem błogosławionego; tymczasem gdy zesłańcy, synowie Europy, w podobnéj okoliczności wystawieni są na utratę życia. *Dacha*, to jest płaszcz bez peleryny, włosem na wiérzch, i drugie, spodnie, lekkie ubranie, to jedyny puklérz zabezpieczający go od mrozu. Wszystkie ludy północy używają tego rodzaju ubrania; że jest nader praktyczne, tego i ja doświadczyłem. Pewnego razu jadąc w czasie takich mrozów, nie mógłem usiedziéć na saniach, więc biegłem dla rozgrzania się, a po chwili siadałem i znowuż biegłem i znowuż siadałem; nareszcie jakaś dziwna, niepojęta, słodka śpiączka mnie opanowała. Miałem chęć zasnąć i zapewne na wieki byłbym zasnął, gdyby mnie woźnica nie był objaśnił, iż kożuch włosem na wiérzch potrzeba obrócić, co uczyniwszy, rzeczywiście było mi cieplej i umysł miałem raźniejszy. U ludów północnych różna płeć nie stanowi różnicy ubrania. Buty nie są u nich w używaniu, i zamiast takowych, z nóg łosia, sierścią na wiérzch, z podeszwą łosiową, używają chodaków, zwanych przez nich *huntami*. Tych *huntów* wszyscy używaliśmy, bo niepodobna wytrzymać nawet w kapeluszowych butach.

Buriaci, jako wyznawcy Buddhy, mają lamów i szamanów, którzy reprezentują świat inny, zagrobowy, duchowy Piérwsi odprawiają nabożeństwo w pagodzie (*kumiwi*)*) i po-

*) Kumir, bałwan; kumirnia, bałwochwalnia.

magają matkom przy rozwiązaniu swojemi modlitwami, odmawianemi w tybetańskim języku. Wożą je spisane na papierze, w skrzyneczce prostokątnéj, i powieszonéj na piérsiach, a w dodatku zajmują się medycyną; drudzy zaś bawią się nekromancyją i odpędzaniem złych duchów. Ostatni zawierają małżeństwa. Szkoła lamów znajduje się w Mongolii i każdy wyznawca Buddhy może nim pozostać, byle tylko nauczył się czytać po tybetańsku i poznał obrzędy przy odprawianiu nabożeństwa. W sprawowaniu swoich obowiązków, lamowie mają pewne territorium zakréślone, niby nasze parafije; tymczasem szamani wykształceni tylko tradycyjnie, im głośniejsi ze swoich czynności, tém szérszy zakres ich działania. Jak piérwsi tak i drudzy za swoje czynności hojnie bywają wynagradzani; prócz tego mają zajęcia wspólne wszystkim wyznawcom. Dwa te stany mają na czele *szyreta*, który w duchowéj hierarchii katolickiéj odpowiada godności biskupa. On zawsze przewodniczy nabożeństwu na dwa wielkie święta, przypadające w Styczniu i Lipcu, ustanowione na pamiątkę wyprowadzenia świata, który według ich wersyi powstał w sposób następujący. Zerwan, odpowiadający platońskiemu demiurgowi, był wieczny, i obok siebie miał tylko pewną materyą eteryczną. W danym czasie postanowił z niéj zbudować świat. Pracował tedy długi czas nad nim, wieki całe, tysiące lat, i przyszła nareszcie chwila, że ukończył dzieło rozpoczęte przez siebie; ale zmęczony tak olbrzymią pracą, postanowił odpocząć, a władzę nad światem jednemu z synów swoich powierzył. Miał ich dwóch, to jest *Majdar* i *Szygemoni*, a nie chcąc obydwom chciwym władzy oddawać panowania nad światem, postanowił, aby los rozstrzygnął tę kwestyję; wezwał ich tedy do siebie i odezwał się do nich w sposób następujący: „Synowie moi, jam zgrzybiały starzec; widzieliście pracę moję nad ukształceniem tego świata; patrzcie na to słońce wirujące z matematyczną ścisłością po swoich orbitach, które im nakréśliłem moją wszechpotężną prawicą; na te miliardy gwiazd, przypięte do nieboskłonu, aby przyświécały w nocy dziełom rąk moich. Pracowałem krwawo nad zbudowaniam tego gmachu, który nie ma miéć końca, jak i ja; a widzieliście, żem go utworzył

tylko z eteru. Pracowałem nie dla siebie, ale dla was, a teraz potrzebuję odpoczynku w moim pałacu słonecznym. Że zaś ten świat, dzieło rąk moich, nie może zostać bez opieki, więc jednemu z was postanowiłem oddać panowanie nad nim, ażeby utrzymał w nim ład i skład, przezemnie raz zaprowadzony. Żeby zaś pomiędzy wami nie było kłótni, i walki, postanowiłem rzecz załatwić w ten sposób. Oto macie po suchéj gałązce z drzewa piérwotnego, którego ziarnko spoczywało w materyi eterycznéj służącéj mi do zbudowania świata; którego więc z was gałązka piérwéj okryje się kwieciem i liściem zielonóm, ten będzie panem i królem świata. Czy się zgadzacie na to synowie moi?" Jednozgodnie obadwa odpowiedzieli: zgadzamy się!

Zerwan tedy udał się na spoczynek do swojego pałacu, a dwaj bracia do swojego, umieszczonego w bladém świetle księżyca. Szygemoni był piérworodnym synem swojego ojca; pewnym więc był panowania nad światem; ale młodszy, pałając żądzą władzy i zazdrością do brata, użył podstępu, albowiem suchą gałązkę zatknął we włosy swoje, które wydzielającym się potem szybko ją zwilżyły, przez co okryła się liściem zielonym, i bujny, cudowny kwiat wydała. W radości udał się do ojca, i rzecze mu: „Wszechpotężny ojcze Zerwanie! Czy pamiętasz przysięgę twoję, że oddasz temu panowanie nad światem, którego gałązka piérwéj zakwitnie? Oto jest!" — „A więc jesteś panem świata" — z królewską powagą odpowiedział Zerwan.

Skoro tedy otrzymał władzę, w radości kroczył z gwiazdy na gwiazdę, aż posady niebios się zatrzęsły. Wtenczas dopiéro obudził się Szygemoni, ale niestety z suchą gałązką. Pałając nienawiścią do brata, prawda że zemknął z księżycowego pałacu, ale znowu figle płata swojemu napastnikowi, zsyłając w dzierżawach jego to choroby, to burze, to straszne mrozy. Zerwon dotychczas spoczywa w swoim pałacu słonecznym. Majdar zaś, przezwany późniéj Burhanem, iż będąc młodszym, podstępem pozostał władzcą świata, zabezpiecza się przeciwko swemu rywalowi przez szamanów, których obowiązkiem wypędzać z ludzi złych duchów, a tym sposobem oddalić wszelkie choroby, będące ich skutkiem; przepo-

wiadać zarazem przyszłość, jak mają ludzie postępować, ażeby byli zdrowi i cali.

Takie są pojęcia Buriatów o świecie i jego początku, pojęcia dualistyczne, nad któremi cała filozofia przedchrześcijańska głowę sobie łamała, aby te dwie rzéki do jednego koryta sprowadzić; dopiéro Chrystus to uskutecznił; a w dodatku jest tu mięszanina zoroastryzmu z brahmanizmem, gdyż Buddha reformując ostatni, miał o świecie pojęcie zupełnie panteistyczne.

Charakter człowieka idzie w parze z naturą; tu materya przeważa, więc co jest dziełem ducha, tkliwych uczuć serca, nie jest znane ludom północnym. Tu groza natury przygłuszyła wszelkie uczucie, i łza boleści nigdy nie błyśnie w oczach.

Zmarłych wywożą w step, na żér dzikim zwiérzętom i drapieżnemu ptastwu; znakomitsze tylko osoby balsamują, ale we właściwy sobie sposób. — W sosnowe głębokie koryto kładą trupa, rozpłatawszy mu piersi, i solą mocno. — Dotknięcie zmarłego sprowadza nieczystość, czego najusilniéj unikają, i konieczność ich tylko zmusza, aby go się dotknąć, poczém w czystéj wodzie ręce i całe ciało obmywają. Pozostałe rzeczy po zmarłym natychmiast palą na stepie. Jak na godach weselnych, tak i przy pogrzebie obecność lamy jest dobrą, ale nie konieczną; nigdy on sam nie jeździ, bo to ubliża jego godności, musi miéć giermka przy sobie, a szyret w samopięć podróż zawsze odbywa; — dwóch jeźdźców przed nim, dwóch za nim, a on w środku.

Step tunkiński jest równy, gładki, gdzieniegdzie tylko kilka jeziór się znajduje; widzisz z góry niby zwierciadło oprawne w ramy stoków sajańskich*), w których czy światło słoneczne, czy blady księżyc, czy téż niebotyczne ich szczyty się odbijają, a rozrzucone jurty stepowców nikną w przestrzeni.

---

*) Na miejscu zowią je golcami, bo nie mają (od połowy gór żadnéj wegetacyi.

II.

Terytoryum wsi Tunki długi czas było dla nas finis terrae. Ciekawość mię parła, aby zwiédzić pagodę buddhyjską, ale przeszkody do tego napotykałem nieprzezwyciężone. Nareszcie w Czerwcu 1874go r. znalazłem sposobność, że mógłem wyruszyć na granicę Mongolii. U Buriatów, skoro żadnych artykułów żywności nie mogłem dostać, więc zaopatrzywszy się w produkta, za pozwoleniem władzy miejscowéj, wyruszyłem samotrzeć do wód mineralnych w *Pustyni Turanu*, zwaną *pustynią Nila,* od imienia archireja irkuckiego, Nila, który tu cerkiew' i miészkanie zbudował. Po przeprawie przez Irkut we wsi Tunce, szybko jechaliśmy po pod górami. Tu z jednéj strony niebotyczne góry, a z drugiéj *ułusy* **) (gromady) jurt Buriatów. Spotkaliśmy dwa kurhany naprzeciw siebie, w których na wieki spoczęły ciała niegdyś stron walczących, Mongołów i Rosyjan.

Z tego to tytułu wiele strzał od łuku w téj miejscowości znaléźć można. Daléj znowu płaszczyzna poprzerzynana potokami spadającymi z gór; nareszcie dominuje wieża, na któréj zdało mi się dojrzéć krzyż, ale woźnica, będący zarazem tłumaczem, objaśnił mnie, że to jest właśnie *kumyrnia* (pagoda) Buriatów w *ułusie* zwanym *Kyren.* I rzeczywiście, im bliżéj byliśmy tego ułusu, tém wyraźniéj malowała się na horyzoncie ze wszystkiemi swoimi ornamentami, zbudowana na wyniosłości przy strumieniu; zewnętrzna jéj forma zupełnie naszéj katolickiéj świątyni odpowiada, i gdyby zamiast igły na wieży zatknięto krzyż, turysta najmniejszéj wątpiiwości by nie miał, iż Bóg w Trójcy jedyny jest w niéj wychwalany. Kształt ma prostokątu, w około z balkonem, pokryta dachem drewnianym, malowanym na zielono i zgrabna wieżyczka wznosi się wysoko, z któréj strzela ku niebiosom *sztyber,* jakoby na znak, iż modły synów Buddhy wznoszą się przed tron Najwyższego.

**) Kilkadziesiąt jurt stanowi wioskę, ułus.

Gdy zajeżdżałem na jéj dziedziniec, uderzył mię huk bębnów, a że to była pora, w któréj słońce miało się ku zachodowi, więc tłumacz mię objaśnił, iż to zapewne wieczorne nabożeństwo odprawiają lamowie. Tém chętniéj tedy wstąpiłem do pagody, po rzuceniu pytania stojącemu Buriatowi, iżali niewierni nie mają wstępu wzbronionego do jéj wnętrza?

Na odpowiédź przeczącą, wszedłem najprzód do przysionka pagody, w którym znalazłem wielokąt drewniany, obracający się na walcu i ozdobiony malowanemi kwiatami, którego każdy wyznawca Buddhy winien obejść, nim wkroczy do kumirni. Ale ja, nie znając téj formalności, rzuciwszy tylko nań okiem, chciałem daléj zmierzać, lecz stojący Buriat dał mi znak, abym głowę odkrył. Z pewném więc uszanowaniem i z odkrytą głową wszedłem do niéj; w głębi migały drobne światełka. Naraz uderzył mnie widok gęsto wiszących różnokolorowych jedwabnych wstążek, które są wotami buddhystów, na cześć Burhana, a owe ogniki drobne, były to gorejące świéczki woskowe, przytknięte do ołtarza, sprzedawane przy pagodzie, które pobożni Buriaci sami zapalają na znak swéj gorącéj wiary.

Na środku pagody, czyli w naszéj nawie, pomiędzy dwoma filarami siedział lama na sposób turecki, piérwszy od ołtarza; on odmawiał modlitwy i w bardzo krótkich przerwach uderzał talerzykami mosiężnemi jeden o drugi, a dwaj podobnież siedzący Buriaci z ogolonemi również głowami, w takt uderzeń talerzyków, bili we dwa wiszące bębny. — Uderzony nowością, usiadłem naprzeciwko nich na ławeczce, przysłuchując się modlitwom; ale przewodniczący lama dał mi znak ręką, abym się usunął, a na zapytanie przez tłumacza, czemu to uczynił, dał mi objaśnienie, iż na wielkie święto *majdara* czyli *burhana*, w tém miejscu siadają lamowie, iż to miejsce jest święte, słowem, iż owa ławeczka stanowiła nasz pulpit.

On czytał modlitwy z kart podłużnych, ułożone w tybetańskim języku, i jak mię objaśniono późniéj, że się czyta z góry na dół, od prawéj do lewéj ręki. Wyjmował on je z takiéjże formy skrzyneczki, i z całą naprężoną uwagą je-

dnę po drugiéj odczytywał. Podczas mojéj bytności, że to był dzień powszedni, to jeden tylko lama z posługaczami znajdował się w pagodzie i odmawiał modlitwy, ale podczas święta, choralnie, zupełnie jak w naszych kościołach godziny kanoniczne, odmawiają modlitwy lamowie przy huku i dźwięku bębnów i trąb.

Wkrótce poprosiłem o zwiedzenie całéj pagody. Obchodziłem ją tedy uginając głowę przed wiszącemi wstążkami, i w głębi pagody znalazłem najkompletniéj nasz wielki ołtarz, na którym było umieszczonych cztérech burhanów w postaci siedzącéj w różnéj postawie, nad któremi gorzały malutkie świéczki. W obecności nawet mojéj, pobożny Buriat zapaliwszy świeczkę, którą z sobą przyniósł, po przylepieniu jéj, złożywszy obie ręce na czoło, z całą pokorą odszedł. Burhany owe są snycerskiéj roboty, pozłacane, z koronami na głowie, i jak powziąłem wiadomość, sprowadzane były z Mongolii, a najstarszy z nich był po prawéj stronie od wchodu, drugi z porządku. Są lichtarze przed niemi ze świécami obsadzonemi, i podobieństwo ołtarza do katolickiego tak jest uderzające, że gdyby zamiast nich postawić krzyż na ołtarzu, łatwoby się można na piérwszy rzut oka pomylić.

Pagoda oświécona jest przez okna, utrzymane czysto i zwrócone ku stronie północnéj. *Szyret* miészka w jurcie, w niewielkiéj odległości od pagody, a lamowie tuż przy niéj i sprawiają urząd niby naszych wikaryuszów. Długo, długo siedziałbym w pagodzie przysłuchując się ich śpiewnym modlitwom, gdyby nie czas naglił do wyjazdu. Poprosiłem o przejrzenie książki, z któréj odmawiają modlitwy, i podano mi ją, ale z pewném niedowierzaniem, wątpiąc, iżali jestem biegły w tym języku tybetańskim, świętym u buddhystów. Przejrzałem ją, udając że się znam na tém piśmie, jako lama z pod zachodniego nieba, a potém szybko ją zwróciłem. Księga to drukowana na papierze, za wysoką cenę nabyta została w Chinach; jest święta równie jak jéj język; o treści jéj sądzą, jak ślepy o kolorach. Powszedni śmiertelnik nie śmie jéj się dotknąć, i ja tylko, jako lama, wyjątkowo dostąpiłem tego zaszczytu.

Stepowiec nietylko przybywa do pagody zasyłać modlitwę do burhana ale i słuchać nauk opowiadanych w imię jego, chociaż w zasadzie sprzecznych z pojęciem o wyprowadzeniu świata z odwiecznego eteru. Tu mówca potrzebuje zatwierdzenia swoich słuchaczy. I tak, jeżeli przedmiotem nauki jest szanowanie cudzéj własności, wyprowadzając wnioski twierdzi, że przez złamanie téj zasady otwiéra się drogę do chaosu w porządku społecznym; że moralna praca traci na swojéj wartości, gdy nikt nie jest pewnym jéj owoców; że jeżeli nie chcemy, aby nam to czyniono, i my innym teczynić go nie powinniśmy, zawsze w końcu zobowiązany pytać się ich, czy prawda z ust jego pochodzi? — „Tak, tak!“ — Skoro głos ten rozlegnie się w pagodzie z towarzyszeniem kiwnięcia głową, to wielkim jest zaszczytem dla mówcy, bo znalazł uznanie, że się wywiązał z swojego zadania. Tu według ich pojęcia prawda spoczywa w głębinach ludzkiego ducha. Nie masz tego pomiędzy nimi, aby ziarno nauki siał mówca z wysokości swego posłannictwa, jak w Kościele Chrystusowym.

To ich pojęcie tak głęboko tkwi w ich umyśle i sercu, że nawet, gdy niektórzy z nich przyjęli chrzest święty, zwani *jasacznymi* *), i gdy na niektóre święta przybędą do domu Bożego, to mówca musi kilkakrotnie powtórzyć im swoję naukę, jeżeli chce, aby mu przyznali, iż się z prawdą nie mija. W razie długiéj mowy lub jakiego jéj niedostatku, np. cichego jéj opowiadania, zapaliwszy fajki w cerkwi, siadają na koń, i ze śmiéchem udają się w step.

Istotnie, są to synowie natury, i podług jéj praw ściśle postępują. Ukształcenie, udoskonalenie moralne, polot ducha w najwyższe sfery ideału, duchowości, do osobowego i jedynego Boga, nie jest im znany. Oni są dzisiaj tém, czém byli przed wiekami.

Rola nie zasiewana jałowieje; najlepszy grunt przestaje z upływem czasu rodzić. O zachodzie słońca zorza jeszcze

*) Jasaczny pochodzi od podatku płaconego w naturze skórami zwiérząt, zwanego jasak; — w téj kategoryi pozostają ochrzceni Buriaci przez 8—10 lat, potém dopiéro zapisywani bywają do kategoryi włościan (krestian).

świéci, ale potém gaśnie, i ciemność panuje. Piérwotne światło czas jakiś ich oświécało, a potém ciemnota naniesiona wiekami zaległa ich umysły i serca. Potrzebują tedy przewodnika z latarnią w ręku, z promienném światłem różaném, któryby ich za sobą po bezdrożach życia i wieków prowadził.

Kiedy to nastąpi? Nie wiém, bom ja tylko powszedni śmiertelnik i niegodny sługa ołtarza.

Burhan, jako hetman świata, świadom zawiści swojego brata, płatającego różne figle jego podwładnym, używa szamanów, niby pośredników swoich, ażeby wypędzali z ciał wiernych złych demonów. W przekonaniu stepowców wszelka choroba jest dziełem Szygemoni; otóż szaman w tym przypadku jest konieczny. Nigdy on się sam nie nastręcza, bo się uważa za wszechwładnego pana w swojéj dziedzinie, ale oczekuje wezwania. Skoro jeden z członków familii jest chory, pozostali po odbyciu narady wysyłają poń gońca, z którym niezwłocznie przybywa do jurty, i tutaj jest wszechwładnym panem i despotą; w tym razie wszyscy mu są bezwarunkowo posłuszni. Obejrzawszy chorego, krzyczy, hałasuje, dowodząc, że zdrowi są przyczyną jego choroby, że są zapewne nieczyści, skoro zły duch wszedł w jego ciało, którego on zapewnia, że wypędzi li tylko przez przyjaźń dla nich. Rozkazuje tedy chorego położyć na wózku, na słomie, razem z owcą, a sam z pewném zaklęciem pokrywa go wojłokiem.

Na wiadomość o przybyciu szamana ciekawi i łaknący z sąsiednich jurt się zbierają. Na jego rozkaz otaczają wózek, ciągniony przez konia lub klacz, prowadzony przez męża lub ojca chorego, stósownie do jego płci; orszak cały postępuje w milczeniu, wyjąwszy tylko jednego szamana, który idzie na czele skacząc i krzycząc, i groźnie podnosząc prawicę ku słońcu, prowadzi cały orszak ze sobą do lasu. Po przybyciu w oznaczone miejsce, nowa scena odkrywa się oczom widza. Wszyscy stają w milczeniu, tylko szamana szał nie opuszcza. Nareszcie na jego skinienie przytomni znoszą suche gałęzie, i takowe piramidalnie układają. W tym czasie drewnianego ptaszka, którego dotąd chował w zanadrzu, u-

mieszcza w gniazdku, uwitém przez siebie, — koniecznie na brzozie. — Tu jeszcze różne figle wyrabia i koziołki przewraca; to się kładzie na ziemi, to się zrywa i grozi słońcu, a ze zmęczenia piana mu z ust pryska. Nareszcie zapala stós drzewa ogniem, wydobytym z zaczarowanego krzemienia, i gdy kłęby dymu wznoszą się w powietrze, zdejmuje najprzód wojłok, i sam na nim kładzie owcę na wznak, którą dwaj Buriaci w téj pozycyi trzymają.

Gdy ogień należycie już płonie, sprawiwszy libacyą *tarasunem* lub wódką duchom i powtórzywszy raz jeszcze swoje groźby i zaklęcia, jednym zamachem topi w owcy nóż, przeznaczony li tylko do tego obrzędu, i z całą szybkością możebną wydobywa z niéj serce, którego część kładzie natychmiast do gniazdka ptaszkowi. Z pomocą tych Buriatów zdejmuje z niéj skórę, i w przygotowany kocieł kładą mięso i nie wiele oczyszczone jelita razem z pozostałém sercem, a skórą obwijają chorego. Skoro się cokolwiek woda zagotuje, najprzedniejszą część mięsa podaje szaman choremu, jako téż i krew' zebraną w miseczkę przy jéj wytryśnięciu z rany, i jeżeli to wszystko chory spożyje, ma być znakiem, że zły demon niewątpliwie już z ciała ustąpił, a tém samém, że chory odzyska zdrowie. Wszyscy z téj okoliczności są zadowolnieni, i spożywszy pozostałość z owcy i część serca surową, ofiarowaną ptaszkowi, z uśmiéchem radości odwożą chorego do jurty, wierząc, że zły duch wypędzony został. Jeżeli wypędzony, wszyscy powtarzają, to chory żyć powinien; jeżeli umrze, to widocznie szaman nie jest biegły w odpędzaniu złych duchów, ale jedno i drugie się przytrafia, bo to naturalny biég wypadków. I konsul rzymski przed wyprawą na wojnę udawał się do *laniarium*, prosząc bogów o pomoc. Gdy był zwycięzcą, wierzył, że zmusił bogów swoją modlitwą, aby mu udzielili pomocy, a gdy był pobity, przypisywał to źle odmówionéj modlitwie, chociaż sobie uszy zatykał, aby żadnego szelestu nie słyszał, i chociaż każdy wyraz powtarzał za kapłanem.

Używanie skóry owczéj w celu przywrócenia zdrowia choremu, miało także miejsce w świątyni Jowisza Ammońskiego.

W celu zabronienia przystępu złym duchom do mieszkańców jurty, skórka zajęcza, zawieszona na drągu przy jéj drzwiach, ma być tarczą przeciwko nim.

Mieszkańcy nawet Tunki używają szamanów podczas choroby, i gdy ten zadecyduje, że dom przez nich zamieszkiwany jest miejscem złych duchów, a ztąd i chorób, że takowy opuścić należy, najchętniéj to spełniają. Z téj to przyczyny w téj wiosce wiele było domów pustkowiem stojących, które my kapłani zamieszkiwaliśmy z ich zdziwieniem i radością, że nas pochwycili w matnią. Tymczasem nam złe duchy nic złego nie uczyniły, z czego Buriaci, nie mogąc wyjść z podziwienia, przychodzili do wniosku, że my, jako lamowie chrześcijańskiego Boga, musieliśmy mocniejsze posiadać czary.

Po skreśleniu modlitwy, odmawianéj przez lamę, i ceremonii odprawianéj przy wypędzaniu złego ducha z ciał wiernych burhanowi, wracam do pagody.

Podziękowawszy za grzeczność celebrującemu lamie przez tłumacza, wyszedłem z pagody, prosząc znowu przewodnika, aby mi pokazał więcéj burhanów. Poprowadził mię tedy do zabudowania zamkniętego na kłódkę, którą skoro otworzył, spostrzegłem konia wyrobionego z drzewa, obszytego w sukno zielone i stojącego na wywyższeniu. Przewodnik mój złożył przed nim ręce, jakoby do modlitwy, i ucałował nozdrza. „Co to jest?“ — zapytałem. — „To burhan“ — odpowiedział lakonicznie. Koń rzeczywiście piękny i istny arab. Obok niego stała skrzynia podobnież na pomoście, z kółkami pod spodem, jak i koń, z wiekiem zrobioném pod kątem rozwartym i oszklonêm, w któréj pod różnemi postaciami znajdowało się wiele burhanów. Otóż na święto *Majdara* czyli *burhanu*, koń ciągniony przez lud, prowadzi za sobą całą skrzynię, pozostali zaś wierni, ze złożonemi rękami na czole, w głębokiéj ciszy postępują, gdy lamowie w talerzyki i bębny biją i dmą w trąby z połączeniem licznych chorągwi, niesionych przez lud. Procesya ta w około pagody się odbywa, któréj przewodniczy *szyret*, ubrany we wszystkie swoje pontyfikalia; cztéry razy mają miejsca przestanki, w czasie których lud siada na ziemię, z pochyloną głową

na piersi, a lamowie zostają w postawie stojącéj i wszyscy choralnie razem z szyretem odmawiają modlitwy. Na głos trąby lud powstaje i znowuż daléj postępuje parami, jak dotychczas, mężczyźni po prawéj, a kobiéty po lewéj ręce się znajdują. Nareszcie przybywa procesya do pagody z krzykiem i wrzawą, z hukiem bębnów i dźwiękiem trąb. Takie nabożeństwo w Lipcu trwa dni 8, a w Lutym 3. W dniach powszednich nabożeństwo ogranicza się na modlitwach, odmówionych w pagodzie.

W *ułusie Kyren* pagoda zbudowana na miejscu dawnéj lat temu 61, wedle opowieści przewodnika mojego, a zarazem zakonnika z lamazeryi. Obok niéj jest ostrokrąg z suchéj brzeziny, o którym przewodnik udzielił mi objaśnienia, że to są ofiary stepowców na uproszenie u burhana, ażeby złym demonom nie dawał do nich przystępu. Przy nim także szamanie inwokacyjami odpędzają złych duchów i żądającym przepowiadają przyszłość, co ma być pewniejszém, autentyczniejszém, niżeli w jurtach. Przy pagodzie znajduje się lamazerya, w któréj miészkają lamowie zakonnicy; poczytałem więc sobie za obowiązek, aby zwiedzić ich miészkania. Po wejściu znalazłem, że jedni siedzieli w głębokiém zadumaniu, nieruchomi jak posągi, jak gdyby duchem byli w pałacu burhana, drudzy posilali snem znużone ciało, inni czytali modlitwy z ksiąg świętych, inni nareszcie, przesuwając paciorki bukszpanowe, literalnie jakby naszéj koronki, z cicha powtarzali: *Omomi podmuchu!* *) Boże, zmiłuj się!

Ci zakonnicy ustawą Buddhy obowiązani są we dnie i w nocy wysławiać Burhana, dla tego téż lamowie ci z po-

---

*) Soma, Homa, a wedle Plutarcha Omomi, Asclepias syriaca (tojeść). Sok z niéj wyciśnięty i zaprawny mąką, po sfermentowaniu ma własność narkotyczną, i służył do libacyi bóztwom Indów. Z biegiem czasu tojeść została bóztwem, o czém Rigwedy széroko prawią. Buriaci to pojęcie o Omomi przynieśli niewątpliwie z południa, ale nie zdarzyło mi się słyszéć, a tém mniéj widziéć, aby jaki użytek z tojeści robili. Ciekawego czytelnika odsyłam do dzieła: „Poganizm i Judaizm“ Doellingera i „Literatura Indyjska“ Teofila Krasnowolskiego. — „Biblioteka Warszawska z Lipca 1866go r.

wodu życia swego ascetycznego widocznie ściśle wypełniali swół obowiązek, gdyż byli wybladli, wyschli.

W miészkaniu tym, a raczéj celi zakonnéj, wisiał na ścianie burhan; piec zwyczajny, zbudowany na środku izby, i kilka nizkich znajdowało się ławeczek; dodawszy do tego kocieł do gotowania herbaty i kilka miseczek drewnianych do jéj picia, ot i wszystkie sprzęty zakonnéj celi dziesięciu budhyjskich zakonników. Jakkolwiek mnie niewiernego chętnie oprowadzono po pagodzie i lamazeryi, jednakowoż tę grzeczność potrzeba było opłacić. Tu nic nie masz bezpłatnie. Budhysta zawsze głodny, więc z wszelkiéj okoliczności korzysta, aby coś zdobyć.

Zboże, chociaż niektórzy sieją, jednakowoż chleba nie używają. Herbata *Kirpicz* (t. j. cegiełkowa) z mlékiem, mąką z przepalonego i utłuczonego zboża w stępie, a przytém osolona, to jedyny i powszechni posiłek zakonników, jak w ogóle wszystkich Buriatów. — W braku herbaty kora modrzewiowa zastępuje takową.

Będąc w pagodzie, uważałem za właściwą i szyreta odwiedzić, raz jako jéj zwierzchnika, a drugi raz jako reprezentanta burhana dla stepowców, wedle pojęć i nauki wielkiego reformatora Buddhy na sześć wieków przed Chrystusem ogłoszonych. Wskazano mi jego jurtę, a więc udałem się sam z tłumaczem. Po zwykłém przywitaniu: „*myndu*“ (jak się masz) wskazał mi szyret miejsce obok siebie, tuż przy buchającém ognisku.

Usiadłem śmiało obok niego, posyłając wszystkim jego gościom myndu. Szyret sam ubrany był w jedwabny fioletowy chałat, przepasany pasem takiegoż koloru. Wielkie srébrne kolczyki obciążały mu uszy. Głowę miał ogoloną, jak i wszyscy lamowie, twarz wielką, płaską, bronzową, oko czarne, ogniste, małe, ukośne i wpadłe, nos mały, spłaszczony i policzki wystające. Wzrostu był średniego i dobréj tuszy.

Skoro się umieściłem na miejscu mi wskazaném, skinął na jednego Buriata, aby mi podał herbatę, którą przyjąć należało, jako dowód grzeczności z jego strony, gdyż wedle opinii u nich panującéj, wszelki opór ze strony gościa dla

gospodarza uważanym jest za sympton niechęci, a tém samém służy za fakt, że nie był i nie jest jego *tałą* (przyjacielem). Przyjąłem ją tedy i wypiłem, a skoro oddawałem miseczkę drewnianą, zapewne jego służącemu, sam szyret zagadnął mię przez tłómacza: czy są pod mojém niebem Buriaci? Na co gdy dałem przeczącą odpowiédź, wielkie jego było zdziwienie, gdyż oni, jak i Tunguzi, szérokie mają wyobrażenie, jak o liczbie swojéj, tak i o obszarach ziemi przez swoich jednoplemieńców zajmowanéj. Poczém ja znowu rzuciłem mu pytanie, dla czego kadzidło pali przed burhanem, gdy on jest martwy, jak to wszyscy widzimy? — „Tak trzeba!“ — odparł mi lakonicznie, i na tém skończył. Bacznie mi się przypatrywał, równie jak i ja jemu. Nareszcie zagadnąłem go, ilu ma lamów podwładnych na stepie, dla których jest głową?

— Dwudziestu! — odpowiedział.

— A iluż naśladowców Buddhy, dla których reprezentuje władzę burhana?

— 5783ech — odrzekł.

A nadmienić należy, iż ludy wschodnie nigdy płci żeńskiéj nie wykazują w cyfrze ludności.

W końcu prosiłem o pozwolenie przyjrzenia się jego burhanowi, i znalazłem kobietę rogatą z wielkiemi uszami, siedzącą po turecku, otoczoną wszystkiemi tworami natury, a przed nią w naczyńkach mosiężnych wszystkie jéj owoce, począwszy od wody, a skończywszy na pszenicy. Gdy odchodziłem od tego ołtarza, znajdującego się bezwarunkowo w każdéj jurcie stepowca, z temiż samemi ofiarami, szyret odezwał się do mnie:

— Zapewne ciekawy jesteś wiedzieć, dla czego to wszystko stoi przed burhanem; otóż cię objaśnię. Burhan jest wielki, potężny, wszechwładny, a my biédni, ubodzy; wszystko co mamy, to od niego, dla tego téż w znak dziękczynienia toż samo mu ofiarujemy.

Wszelki gość, przychodący do szyreta, obowiązany jest złożywszy ręce na czole, najprzód ziemię ucałować, a potém go pozdrowić: *myndu szyret!* Lecz ja od tego ceremoniału, jako niewierny, uwolniony zostałem.

Nie mogąc w żaden sposób rozpocząć żywszéj rozmowy, podałem mu rękę na znak przyjaźni, i już zabierałem się do wyjścia, gdy skoczył na nogi, oświadczając mi, iż mocno żałuje, że mnie nie może dłużéj zatrzymać, gdyż: „oto interesenci“ — wskazując ręką na siedzących Buriatów, przybyli poń i zabierają go w step. Prosił mnie zarazem, ażebym w powrocie od wód wstąpił do niego, gdyż od tłumacza powziął wiadomość o celu mojéj podróży. Chętnie przyjąłem jego propozycyą w nadziei, że od głowy hierarchii buddhyjskiéj na tunkińskim stepie coś się dowiém o buddhyzmie.

Wsiadłem tedy do mojéj taratajki i daléj w podróż.

Tu grunt równie płaski i błotny, ale im bliżéj dojeżdżaliśmy wsi Szymków, tém więcéj grunt stawał się wyższym, suchszym; nareszcie przybyliśmy do téj wioski. Jest to osada złożona z 70 dymów i leżąca nad samym Irkutem. Mieszkańcy trudnią się rólnictwem, najczęściéj zawodném, bo mróz prawie zawsze zmrozi urodzaje pól, ale to ich nie zniechęca do pracy w polach:

— Żyć trzeba, a rybołóstwo i polowanie nie wystarcza na domu utrzymanie — odparł mi tamtejszy kmieć.

Wieś Szymki odległą jest od Tunki mil sześć, i góry tutaj się zwężają. Jakkolwiek element słowiański liczebnie jest większy w téj wiosce, jednakowoż pod względem zwyczajów i obyczajów uległ wpływowi Buriatów. W okolicy Szymków spotkaliśmy liczne stada bydła. Dzieli się ono na trzy gatunki: jedno zupełnie nasze, zwane rosyjskiém bydłem, drugie takież samo, ale bez rogów, zwane *chajnyk*, a trzecie zwane przez nich *charłyk*. To ostatnie w składzie swojego ciała jest mięszaniną, jakby z konia i krowy, bo posiada ogon zupełnie koński, długi, i tych to najczęściéj stepowcy używają do jazdy, siedząc na nich nie okrakiem, ale z boku, wspiérając nogi na hołoblach. W braku takowych posługują się także zwyczajnymi wołami i krowami. *Charłyk* jest wielki, kosmaty jak owca, włos ma długi pod spodem do kolan, który traci na wiosnę; rogi ma wielkie, ostre, ryk jego prawie żaden i wejrzenie ma dzikie. Mléko od krów charłyków jest tłuste, ale za to nie wiele go dają, a mięso twarde, niesma-

czne i pieniące się jak konina.*) Owiec Buriaci bardzo wiele utrzymują, ale kóz, zwanych przez nich *jeman***), nader mało. Za to Mongolia posiada je w wielkiéj obfitości.

Po krótkim odpoczynku we wsi Szymkach, wyruszyliśmy daléj; tu grunt jeszcze inny, i coraz bardziéj wyższy, i góry coraz bardziéj się zwężają.

Przed nami góry pokryte lasem sosny, modrzewiu, cedru (*pinus carpathicus*), a mamy przejeżdżać *Zangisany*, potoki straszne, w których niejeden śmiałek śmierć znalazł, a tu słońce ku zachodowi. Jedziemy szparko, bo nam śpieszno, a woźnica zapowiedział, że tam taratajki zostawimy, i od nich już konno podróż odbywać będziemy. W pustyni rezygnacya najlepsza, więc co Bóg da, pomyślałem sobie, to zrobię.

Góry coraz wyższe i wyższe, konie nam ustają i my pieszo na nie się wdzieramy. Nareszcie rozlega się szum. To piérwszy *Zangisan*, powiada woźnica, i gdy przybyliśmy nad jego brzeg, a oto potok spadający z góry, a kamienie w nim, to straszne bryły, o których woźnica opowiadał mi, że co rok to nowe przybywają, albowiem w czasie ulewnych deszczów potok stare kamienie unosi, a natomiast nowe na swoich ramionach przynosi z gór. Nie masz innéj drogi, a więc zostawiwszy nasze taratajki ukryte w lesie i zabrawszy nasz prowiant w sakwy, wsiedliśmy na nasze wiérzchowce, stosując się do instrukcyi woźnicy, ażeby konie wolno puścić gęsiego, gdy on piérwszy pojedzie. Zastósowaliśmy się ściśle do jego zalecenia, i tak szczęśliwie przebyliśmy piérwszy Zangisan. — Konie stepu tunkińskiego tak są przyzwyczajone do jazdy kamiennéj i górzystéj, iż byle tylko wolno je puścić, a silnie się trzymać, można być pewnym szczęśliwego skutku.

Jak przy piérwszym, tak przy drugim i trzecim postąpiliśmy Zangisanie. Szczęście nam sprzyjało, iż wody w nich były małe, bo przy wylewie ich z powodu dészczów lub

---

*) Gdy się gotuje koninę, to woda ma tyle szumowin, ile na żadném inném mięsie ich nie widać.

**) Tunkińscy Moskale, gdy kogo chcą łajać, zwykli przezywać go: ty buriacki jemanie, tj. ty buriacki koźle.

tajania śniegów przebyc ich niepodobna, i każdy odważający się je przebrnąć w téj porze śmierć najczęściéj znajduje w ich nurtach, i w tym czasie wszelką komunikacyą przerywają.

Jedziemy daléj, i daléj, a tu góry i lasy, a w nich cisza grobowa. Niedźwiédź szuka chłodu w cienistych kniejach; a ptastwa mało, i to drapieżne, np. kruki.

Nareszcie znaleźliśmy się nad brzegiem Irkutu, a na prawo nas góry. — Ot, tam wody ciepłe, w tym parowie — wskazał woźnica ręką. Ciekawie spojrzeliśmy we wskazaną stronę, i daléj w podróż, pragnąc jak najprędzéj dostać się do celu. I po pewnym przeciągu czasu ukazała nam się wioska *Turan*, składająca się z 8 domów. Tu kraniec rólnictwa, tu głąb' Mongolii się rozpoczyna, tu kamień na kamieniu, góra na górze, tu rządowa granica dzierżaw państwa niebieskiego. I jak my od Zangisanów odbywaliśmy podróż konno, bo dla braku dróg niepodobna wozem podróży odbywać, tak téż zwiedzić całą Mongolią można tylko na koniu lub téż na wielbłądzie. Tam ludy wszystkie koczują, jak Buriaci na tunkińskiem stepie, jedne lamazarye są zbiorowym punktem stępowców, gdzie starzy lamowie, doświadczeni w odprawianiu nabożeństwa, kształcą młodzież na przyszłych lamów.

W *Turanie*, jakkolwiek sadzą kartofle, tytóń i inne ogrodowizny, jednakże nigdy one nie dojrzewają z przyczyny znacznéj wysokości gruntu nad poziom oceanu. W dziewiczych borach, otaczających Turan, pełno zwiérza dzikiego, np. niedźwiedzi, sarn, łosiów, wilków i *izubrów*. Te ostatnie są bardzo poszukiwane, przedewszystkiém dla swoich rogów. Izubr, to rodzaj jelenia; w Siérpniu corocznie zrzuca rogi, a natomiast w Marcu nowe mu odrastają. Podczas wiosny są miękkie, i w téj właśnie porze najwięcéj tych izubrów strzélają, dla krwi znajdującéj się w gałkach na końcu tych rogów; jedni powiadają, że ta krew' służy Mongołom do obrzędów religijnych, a drudzy, iż jest galwanizmem dla próchniejących synów władzcy niebieskiego. Która z tych opinij jest prawdziwą, trudno rozstrzygnąć, ale to jest faktem, że gdy ojciec wydziela część swojego mienia dzieciom, po-

między innemi rzeczami rogi izubra piérwsze miejsce zajmują. Widziałem je na własne oczy; były one gałęziste, podobne do reniferowych, pokryte włosem krótkim, popielatym; żeby zaś krew' się nie psuła, były nasolone. W Mongolii stała ich cena od 50 do 100 rubli. Szczęśliwy posiadacz wybierał się w podróż, aby je spieniężyć. Do skóry i mięsa izubra nie wielką wagę przywięzują stepowcy, i dla tego téż w jesieni rzadko do nich strzélają. Ale wracam do podróży.

Przewodnik, mający nas przeprowadzić w bród przez Irkut, przebywszy go sam najprzód wpław, zapewnił nas, iż z całém bezpieczeństwem możemy go przebyć, a więc siedliśmy na nasze wiérzchowce. Wtedy przewodnik nasz wydobył lejce, przywiązał do nich polano drzewa, zapowiadając, aby każdy z nas konia wolno puścił, gdy on piérwszy pojedzie, a na wypadek, gdyby konia woda uniosła, natenczas każdy puszczając się na los rzéki, ażeby chwytał się polana, które on rzuci. — „Każdy ma się trzymać konia za grzywę“ — powtórzył donośnie — „a teraz za mną!“ — i wskoczył w wodę. Ja byłem ostatni i ostatni wskoczyłem w rzékę, zrobiwszy na sobie znak krzyża św.

Rzéka szumi, ale mój koń dąży za innymi; koń mój płynie, a ja się silnie trzymam grzywy wedle instrukcyi, a tak szczęśliwie przebyłem głąb' i dostałem się na mieliznę za innymi. — „To najniebezpieczniejsza odnoga Irkutu“ — radośnie zawołał przewodnik — „na innych miejscach nie masz niebezpieczeństwa“ — dodał; i w tém się bynajmniéj nie pomylił.

Rzeczywiście, na drugiéj i trzeciéj odnodze Irkutu woda była tylko po brzuch koniowi, a gdy na brzég ostatni wyskoczyłem, już byłem na lewéj stronie téj szalonéj rzéki. Tu wjechaliśmy w las, rozumié się gęsiego. Buriat nam przybył do towarzystwa, nucący sobie, *johor johor*, *johorja* i t. d., któremu i ja wtórowałem z radości, podziękowawszy wprzód Bogu, że mię nurty Irkutu nie uniosły. Po krótkiéj przerwie, minąwszy wiele jurt, osiadłych na błoniu, przybyliśmy nad rzékę wypływającą z wąwozu, nazwaną *Ihehun*.

Tu biały drobnoziarnisty granit stanowi jéj brzegi, li-

teralnie prostopadłe, wyszlifowane przez wieki, a szerokość wąwozu nie większa, jak główna ulica w Zamościu. Całą jego szerokość zajmuje rzéka, z wielkim rykiem, prądem, szumem płynąca do Irkuta, a my jadąc jéj brzegiem, przytuliliśmy się do skał, niby do muru na trotoarze. Skały nadbrzeżne tak wysokie, jakby złożyć dwie kollegiaty zamojskie jednę na drugą.

Jedziemy więc w milczeniu, bo szum rzéki wszelką rozmowę przygłuszał. Nareszcie po jednogodzinnéj podróży, przy zwinięciu się wąwozu, ujrzeliśmy wieże cerkwi, a późniéj kominy dwóch domów, i po krótkiéj przerwie znaleźliśmy się w miejscowości tak małéj, na któréj zaledwo zdołano pomieścić cerkiew', i dom dla misyonarza prawosławnego na jednym, a łazienki wód mineralnych na drugim brzegu. „Oto jest pustynia Nila!“ zawołał przewodnik, „tu właśnie płyną wody ciepłe!“

Zsiedliśmy tedy z koni, i weszliśmy do domu o trzech niegdyś dobrze i z gustem utrzymywanych pokojach, a teraz będących salonem dla wróbli ciekawych, chętnie odwiedzających nowo przybyłych.

Mnie, synowi z nad Wieprza, znaléźć się w takiéj głuszy, było nader dziwną i wprawiającą mię w osłupienie. O jakże są zmienne losy człowieka i narodu!

Z ciekawością obejrzałem całą przestrzeń domu i znalazłem karłowatą akacyą z żółtym kwiatem tuż przy domu obwieszoną różnokolorowemi wstążkami, z pod któréj wydobywała się para z wody, którą Buriat, widocznie chory, pił chciwie, a po każdém jéj zaczerpnięciu, otwiérał i zamykał drzwi. Podniósłem i ja takowe, ale para mocno mię uderzyła, iż musiałem się cofnąć. Że zaś wybierając się w podróż, miałem na celu kąpiel w tych wodach, więc udałem się do wanny, i znalazłem w niéj wodę tak gorącą, że z trudnością mógłem wytrzymać. Woda ta, bijąc z pod skały, płynie do wanny, z któréj kanałem odpływa do Ihehunu. O ile wnoszę, piérwiastki siarczany i solny w niéj przeważają. Co do mnie, doświadczyłem jej zbawiennych skutków w moich cierpieniach hemoroidalnych.

Na drugi dzień po przybyciu mojém do téj pustyni, przed

oknami łazienek przemknęła się konno Buriatka z licznymi warkoczami swoich kruczych włosów.

Przebywszy most, zatrzymała się przed domem ojca misyonarza, z którego ktoś wyszedł, i pogawędziwszy z nim chwilkę, wsiadła na koń i w całym czwale popędziła w górę Ihehunu. W niedługim czasie z dołu i góry téj szalonéj rzéki kilkanaście koni stepowców gęsiego zmierzało na most. Party ciekawością, coby to miało znaczyć, i ja się tam udałem. Zatrzymali się oni obok mostu, i w téj chwili ukazał się ojciec misyonarz, przy którym konno stanęła zaraz owa Buriatka. Skoro się cisza zrobiła, ojciec misyonarz zająwszy miejsce na kamieniu, w języku rosyjskim przemówił do nich mniéj więcéj w ten sposób: „Wiadomo wam najmilsi, że św. Jan Chrzciciel był poprzednikiem Chrystusa Pana. On swojemi naukami wzywał wszystkich do pokuty, a zarazem do przyjęcia Chrztu świętego w rzece Jordanie, aby utorować drogę św. ewangelii w sercach ludzkich.“ „Okulina!“ tłómacz! odezwał się zwracając się do owéj Buriatki. I skoro zaczęła mówić, wszyscy stepowcy spojrzeli po sobie. Gdy skończyła, ojciec misyonarz mówił znowuż: „Chrzest św. jest piérwszym Sakramentem, on zmywa najprzód grzéch piérworodny, a potém wszystkie uczynkowe, i jak ciało obmyte w rzéce jest czyste, tak téż i chrzest ś. obmywa dusze ze wszystkich zmaz, a czystym tylko można wejść do Królestwa Bożego. — „Okulina! daléj!“ odezwał się do swojéj tłómaczki. I gdy zaczęła przemawiać, stepowcy wydobywszy swe *ganzy* (fajki) zaczęli je nakładać korą modrzewiową, i gdy znowu ojciec misyonarz chciał przemawiać, zapaliwszy swoje fajki, z hałasem i śmiéchem drapnęli w swoje strony. Zostaliśmy tedy we troje, a że przedtém zrobiłem znajomość z tym O. misyonarzem, zbliżyłem się do niego i rzekłem mu: „Batiuszka! Ja w Niedzielę i święta chodziłem do świątyni pańskiéj, i o ile pamiętam, nigdy nie słyszałem, aby Chrystus Pan upoważnił uczniów swoich do używania tłómacza przy ogłaszaniu swojéj nauki, i nigdy nie słyszałem, i nigdzie nie czytałem, aby w podobnym razie tłómacz był używany. Czyby nie korzystniéj było dla stepowców, abyście do nich w ich rodzinnym języku przemawiali?“

Spojrzał na mnie z uśmiéchem i odpowiedział mi: „Na waszę propozycyą najzupełniéj się zgadzam, ależ ja nie jestem obowiązany znać języka buriackiego; mnie kazano przemawiać, i święcie tego dopełniam.“ — „A jeżeli archirej przyjedzie, aby im udzielić chrztu ś., jeżeli ich nie przygotujecie do tak wielkiego dzieła, co wonczas będzie?“ zagadnąłem go. — „Nic nie będzie,“ odparł mi; „przywiezie z sobą bieliznę, obrazki, będzie sute przyjęcie, a gdy ich zawiadomię, to i przybędą.“ — „Ależ nieoświeceni w artykułach wiary chrześcijańskiéj, pomimo chrztu św. pozostaną w buddhyzmie?“ ciągnąłem daléj. W tém głos jakiś się rozległ. — „Kolega was zapewne wzywa do łazienki, a więc do widzenia,“ powiedział O. misyonarz, i istotnie tak było.

Wtedy to przyszła mi na pamięć okoliczność w Ułangachowie (5 wiorst od Tunki wioska), iż gdy w jurcie *jasacznęyo* spostrzegłem obok burhana obraz św. Mikołaja, i gdy zapytałem swojego tłumacza, dla czego on trzyma burhana w jurcie, jeżeli ochrzcony, ten kategorycznie mi odpowiedział: — „My nie wiemy, który jest Bóg lepszy: czy buriacki czy rosyjski; dla tego téż temu kadzidło palimy, a temu świéczkę stawiam, jak to widzisz,“ wskazując na wznoszony się dym z wazki metalowéj; i gdy obadwa są w zgodzie, to i lepiéj.

Szum rzéki w tym parowie tak jest wielki, że zwyczajnym głosem mówiąc nie podobna być słyszanym; dla tego to O. misyonarz nader donośnym głosem przemawiał do swoich słuchaczy.

Tutaj słońce w Czerwcu o godzinie 8méj wschodzi, a o 6téj zachodzi, bo to wąwóz olbrzymi, który wyniknął ze strasznéj walki żywiołów, po którym płynie rzéka kryształowa po kamieniach, dla wielkiego jéj prądu wiecznie ruchomych, a ztąd pomimo najtęższych mrozów nigdy nie zamarzająca.

Sądzić by należało, iż w niéj ryb nie masz, ale grubo omylić się można. Tu ryb pełno, np. pstrągów, *hajrusów* (kiełbiki), *tajmeni*, rodzaj jesiostra; nader smaczne. Buriaci polują na nie ościami, i skoro zoczą rybę, to już ta ryba jest ich własnością. Woda przezroczysta jak łza, więc ością za-

krzywioną wystrasza najprzód rybę z pod kamienia, a potém w nię uderza. Daléj stawiają *wiersze* (rodzaj koszyków) pomiędzy kamieniami, gdzie największy prąd wody, i nagromadziwszy kamieni z jednéj i drugiéj ich strony, aby utrudnić w innėm miejscu płynienie rybom w górę rzéki, które dążąc przeciw wodzie wchodzą w nie, a tym sposobom mnóztwo ryb łowią. Zdziwiłem się, jak przy tak wielkim prądzie wody, ryby mogą się utrzymać, a jednakże jest to fakt.

Ptaków, stałych miészkańców tego parowu, prócz wróbli, znajduje się jeden gatunek; są one długie, ciemno-brunatne, z długiemi dzióbkami, które ciągle we dnie i w nocy, niewątpliwie żérując, przelatują ze skały na skałę, ze świergotaniem, jakoby opiéwały ciemne czasy przedhistoryczne.

Wody mineralne w pustyni Nila mają swoję historyą dopiéro od 1840go roku, i rozgłosu nabrały w on czas, skoro decembrzyści, książęta Wołkoński i Trubecki, po uwolnieniu z robót przysłani zostali do Tunki na *posielenie*. Byli to ludzie światli, więc w podróżach swoich po stepie, skoro powzięli wiadomość od Buriatów o tych wodach, podali projekt ówczesnemu gubernatorowi irkuckiemu, Ruprechtowi, aby ich użyć dla przyniesienia ulgi cierpiącym. Ten wydelegował komisyą, która po zbadaniu rzeczy na gruncie, uznała ich zbawienne skutki. Żeby zaś znaléźć poparcie u rządu dla wybudowania łazienek, zachęcił biskupa irkuckiego Nila, ażeby ten ze swéj strony podał projekt założenia przy nich missyi do nawracania Buriatów.

Obiedwie tedy władze jednozgodnie działając, wyjednały fundusz u rządu na wybudowanie cerkwi, miészkania dla misyonarza, którym ma być zawsze zakonnik, i łazienek. Że zaś Nil, zamiłowawszy dzieło swoje, najczęściéj w lecie tutaj miészkał, więc ztąd poszła nazwa tego parowu „Pustynia Nila“. W miészkaniu misyonarza znajduje się jego portret olejny. Krótka to jest epoka od czasu zbudowania cerkwi, a jednakże już raz takowa spłonęła razem z archiwum. I obecnie stojąca drewniana wedle dawnego planu odbudowaną została; styl byzantyjski nader w niéj wyraźny. Teraz, przy braku starania, chyli się to wszystko do upadku

szczególniéj łazienki. Kąpiących się w wodach mineralnych téj pustyni bywa nie wielu, raz dla braku dróg, drugi raz, że nie zaopatrzywszy się w swoję śpiżarnią, przy funduszach nawet na głodną śmierć narażonym być można. W całéj pustyni miészka 10 ludzi, i u nich nic dostać nie można. — Cisza grobowa ją zalega, kiedy niekiedy tylko przewinie się Buriat około rzéki, dążąc po skałach do swego ułusu w górę Ihehunu. Gdybym nie był naocznym świadkiem, z trudnością dałbym wiarę opowiadającemu, a jednakże jest to fakt, że fale wody kamienie jedne unoszą a natomiast drugie przynoszą; kamienie wielkie, czyste granity.

Po upływie dni kilku wyruszyłem w górę rzéki, chcąc poznać nadbrzeżną jéj florę, i ze zdziwieniem napotykałem prawie wszystkie rośliny rosnące u nas na błotach. Jedna z nich uderzyła mię swoją oryginalnością, którą Buriaci nazywają *tutenhabtanyk* (gołębi kwiat), mającą kwiat drobny niebieski, jakby naszych niezapominajek, i wyjąwszy dwóch liści, otaczających kwiat, będących koloru ciemno-zielonego, pozostałe są barwy szkarłatnéj. Z drzew napotykałem olszynę, akacye karłowate, sosny, modrzewie, jodły, świérki, a z krzewów poziómki, maliny, w tém *moroszkę* (jagody podobne do ożyn, lecz żółte). Prócz tego nader oryginalny krzew się znajduje, zwany *tymenhul* (ogon wielbłądzi); rośnie piramidalnie, liście ma podobne do nitkowych, obok których ma mnóztwo igieł popielatych, od spodu aż do góry tak ostrych, iż gołą ręką nie podobna go się dotknąć. Korę ma grubą, także popielatą, a kwiat biały, najzupełniéj podobny do grochowego.

Ojczyzną tego krzewu są źródliska Irkutu; przed kilku laty 10 egzemplarzy wysłano takowego do ogrodu cesarskiego w Petersburgu. Pień drzewa nader twardy, bez żadnego śladu słoju. Po skałach, gdzie tylko szczelina, natychmiast czepiają się bluszcze bez względu na wieczne z wiatrami igranie. Piękny był spacer mój pośród natury w całéj pełni się rozwijającéj; tu ręka człowieka nie zdążyła jéj jeszcze zadać śmiertelnego ciosu, tu wszystko dzisiaj tak jak było przed wiekami. Tu świéże powietrze, tu skwar słońca nie ma przystępu pośród ocienionych drzewami gór.

Jakkolwiek w Czerwcu byłem w téj pustyni, jednak na potokach, wpadających do Ihehunu, lody jeszcze leżały i nader zdziwiony zostałem, skoro wyrastające krzewy z lodów pokrywały się liściem zielonym.

Bez względu na przeszkody widocznie natura musi wszędzie swoje prawa przeprowadzić. Lód z liściem zieloném, co za dziwna anomalia, a jednakże to fakt, który na własne oczy widziałem.

Gdziekolwiek w pasowaniu się swojém natura grotę utworzyła, tam ślad ręki polskiéj z r. 1840go napotykałem, n. p. Feliks i Paulina Iwaszkiewiczowie.

Odmalować te siły tytaniczne, które wysadziły na powietrze te olbrzymy, przechodzi moję zdolność; tu potrzeba specyalisty, ażeby je ocenił i odniósł do pewnéj epoki, w któréj kula ziemska, przechodząc pewne fazy, nareszcie została taką, jak ją widzimy. Co do mnie, podziwiałem tylko wszechmoc Najwyższego, która je wyprowadziła i utrzymuje w stanie raz przez siebie zaprowadzonym.

Codziennie prawie chodziłem nad brzegami Ihehunu, ale na góry nie miałem odwagi się wedrzéć. Nareszcie wezwawszy Boga na pomoc, postanowiliśmy na nie się wdrapać chociażby na czworakach, bo zadaniem człowieka, nie doliny, po których kroczy, ale sfery ideału; wszak gdzie skały mkną olbrzymie i gdzie śmielsze serca bicie, tam i myśl, co w duszy płynie, czuje nowe, wyższe życie, jak któryś z naszych poetów powiedział.

Poszukując dla wdarcia się dogodniejszego miejsca, odkryliśmy, że od akacyi rosnącéj tuż nad źródłem wody są ślady jakiéjś niewyraźnéj ścieżki, a więc po niéj postanowiliśmy szczęścia próbować, zaostrzywszy dla podpierania się swoje laski drewniane. Wdzieramy się tedy, ale z niebezpieczeństwem na każdym kroku; tu krzew rosnący, tam wątła sosienka, tu mech, wreszcie laska zapuszczona w grubą jego warstwę, służą nam za opór. Naprężamy swe siły, ażeby wyżéj się wdrapać, i wyżéj i wyżéj się posuwamy, a odpoczywając, kładziemy się na pochyłości góry, trzymając się jakiéjkolwiek zapory.

Z wysilenia pot kroplisty na nas występuje, i znowuż

odpoczywamy, i znowuż się posuwamy, i wyżéj i wyżéj. Nareszcie po kilkogodzinnéj krwawéj pracy, ujrzeliśmy ze zdziwieniem krzyż, ale krzyż łaciński, a na nim napis: „Włodzimiérz Rajewski r. 1840“ *).

Wdzierałem się na ten szczyt z krwawą pracą, i pokryty rzęsistym potem, ległem bez duszy pod tym krzyżem; bo i któż z nas pośród burz namiętności, niesiony na wątłéj nawie życia, nie schroni się pod ramiona krzyża, niby do portu? Krzyż dominuje po drogach, i po wszystkich wieżach świątyń pańskich; na grobach, w których najdroższe istoty sercu naszemu spoczywają, i jedne i drugie przyzywają nas do modlitwy, a trzecie prócz tego wskazują nam, że pod krzyżem tylko najświętszy i największy znajdziemy spokój, do którego wszyscy wzdychamy. Błogo mi tedy było spocząć pod tym krzyżem, rzucającym cień na mnie. Postawiony na skale granitowéj, u stóp któréj szumi bystry, od początku wieków falujący Ihehun, zadumałem się pod tém godłem nauki Chrystusowéj. Krzyż w Sajanach, na których stokach széroko się rozsiedli wierni wyznawcy Buddhy, wydało mi się sprzecznością z mojém stanowiskiem; zapomniałem, iż on dla tego ramiona rozciąga, aby wszystkich niemi ocienił z jednéj strony, a z drugiéj ażeby cherubinowe skrzydła przyprawił całéj ludzkości, bo on absolutnie dla niéj zatknięty został na Golgocie. Czemuż nie napotkałem tuziemców chroniących się podeń?

Z témi myślami, oparty o krzyż, ległem na twardym granicie, marząc o sprzeczności w dziejach historycznych, gdy ja z nad Huczwy **) znalazłem się w Sajanach, i co daléj się ze mną działo, trudno mi w téj chwili wypowiedziéć. Gorączka mnie paliła, a duch mój, podniecony smutną czarną rzeczywistością, latał po zapadłych w on czas dziejach; przy-

*) Należał on do sprawy Decembrzystów, i gdym zasięgnął bliższéj wiadomości, dowiedziałem się, iż w roku 1875tym zostawał przy życiu, ale już 70-letnim starcem. Miészkał niedaleko Irkucka nad Angarą, we wsi Ołonki, ożeniony z Buriatką, ale wiarę ojców święcie przechowuje.

**) Rzéczka, wpadająca do Bugu pod Gródkiem nadbrzeżnym; płynie koło Hrubieszowa.

woływał przed oczy moje jakieś karmazynowe postacie, w żółtych butach z ostrogami, w hełmach na głowie, i z karabelą przy boku. Przechodziły one jedne po drugich, ciskając łzawy wzrok na mnie, a mnie śmiertelne dreszcze przechodziły, pomimo gorączki. Nareszcie zniecierpliwiony ich natręctwem, rzekłem: „czegoż chcecie, wy widziadła, upiory przeszłości, czegoż mię męczycie, i na pamięć przywodzicie przeszłość?“

— Czego chcemy? jedna z postaci powiedziała.

— Co tu robisz? dodała druga.

— Alboż nie wiécie? odpowiedziałem, że na skrzydłach zamieci przybyłem w tę okolicę, ot i jestem na tym granicie, pod krzyżem tym, godłem mojego zbawienia, i mojéj nadziei w lepszą przyszłość.

— Jakaż twoja nadzieja? znowuż się jedna odezwała.

— Krzyż! odparłem.

— Czyż krzyża na téj górze, aż tutaj masz szukać?

— Czyż to twoje słońce, i twa woda? Czyż to wszystko twoje, ażebyś aż tu w dziewicze bory, upiększające te skały, te urwiska, miał przychodzić, i nam spokój zabierać?

— Młodzieńcze! jedna z najpoważniejszych postaci rzekła do mnie, klepiąc mię po ramieniu, a mnie mrówie przeszło. Chwalę twoję wiarę w krzyż, iż się uciekasz do niego; wszak i my przyszliśmy z naszą modlitwą podeń, i widocznie jesteś kość z kości naszéj, krew' ze krwi naszéj, ale co robisz? chciéj nas objaśnić, z pod jakiego nieba przychodzisz, i jakie wody piłeś?“

Na sędziwą postać poważnego starca skoro spojrzałem, na jego twarz pełną dobroci, i zdaje się, zacności, nabrałem odwagi, i zacząłem im opowiadać moję przeszłość, i dzieje na niéj osnute, że moje słońce to zupełnie inne, i że ostatnie piłem z wód Huczwy.

— Przebóg!“ Wszystkie jednogłośnie się odezwały.

— Młodzieńcze, mów' nam prawdę, prosimy cię, — dodały.

— Jam prawdy wysłaniec, którą w sercu noszę, odparłem.

— Czyż aż tutaj tę prawdę będziesz ogłaszał, a tam, tam, czy ona głęboko zapanowała?

— Jeśli wszystko w ruinie, to i miasto prawdy fałsz széroko się rozsiadł.

— A więc nie wolno jéj nawet ogłaszać? zagadnęły mnie.

— Tak jest, niestety! Na moję opowieść wszystkie postacie badawczo spojrzały po sobie, jakby mi niedowierzając.

— O wy duchy przeszłości, jak widzę, podajecie w wątpliwość moje słowa. Nie wątpcie! Jam prawdy wysłannik, i fałsz nigdy z ust moich nie wychodzi.

— Wszak myśmy budowali zamki i grody, aby się opiérać nawale pogańskiéj. Czyż nie było rąk zdolnych do korda, aby w nich zasiadły i broniły ognisk domowych? odezwały się razem.

Były, i są, ale hydrze nie wszystkie głowy były odcięte; żyła jeszcze, a głowy jéj odrastały, odpowiedziałem.

— Wielki kanclerzu i hetmanie koronny! odezwała się jedna postać do drugiéj, to nasza wina!

— Jam radził Szczepanowi, odparła, że niedosyć jéj było wszystkie głowy pościnać, ale potrzeba ją było w samo serce ugodzić, aby żyć przestała, a wtenczas nie szkodziłaby nam i naszym potomkom. I on się na to zgadzał, ale wola Ojca powszechnego zakazywała przelewać krew' ludzką.

— Tak! Ojciec powszechny dał wiarę jéj słowom kłamliwym *), ot i doczekaliśmy się, któraś się odezwała, wskazując ręką na mnie.

— A więc jak w on czas tak i teraz prawda przy mnie, jedna z najwyższych postaci powiedziała. Radziłem zadać jéj cios w samo serce, a potém Ojca powszechnego przeprosić; wtenczas nie mielibyśmy tutaj tego młodzieńca pod tym krzyżem. — Boże! Boże ojców naszych! jednozgodnie wołano, zmiłuj się nad nami! Czyż mogliśmy wtedy przewidzieć, gdy ona się płaszczyła u nóg naszych, że *haereditas*

*) Czytelnik domyśli się, że tu czynione są alluzye do czasów Stefana Batorego, kiedy wstawienie się papieża obroniło obłudną Moskwę od ostatecznego pogromu przez oręż polski. Przyp. Red.

nostra versa erit ad eam: domus nostrae ad extraneos a *servi dominati sunt nostri:* i *non est qui redimeret de manu eorum.*

— Ależ *Deus admirabilis* a *fortuna mutabilis*, znowuż się jedna z postaci odezwała. Módlmy się więc do tego Boga, na którego chwałę budowaliśmy świątynie, ażeby młodzieńca, którego tu mamy przed sobą, taż sama potęga, która go tu przyniosła, odprowadziła tam zkąd przybył. I modlono się długo, w ciszy głębokiéj, i z całéj téj modlitwy jeden tylko wstęp w pamięci zatrzymałem: *Miserere nostri Domine et exaudi orationem nostram, quoniam singulariter in spe constituisti nos.*

Gdy patrzyłem na to oblicze poważne, skropione łzami, i we mnie jakiś promień nadziei wstąpił, że z modlitwy pochodzącéj więcéj z serca aniżeli z ust można się spodziewać pomyślnego skutku. Będąc w marzeniu gorączkowém, sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, i patrzyłem na wszystko w niemém podziwieniu.

Po skończeniu modlitwy głębokie milczenie zapanowało pomiędzy wszystkiemi postaciami, przerywane tylko westchnieniami i krwawą łzą w oku.

Naraz wiatr lekki zaczął dąć, zaszumiały drzewa w kierunku rzéki, i z wolna modlące się widma zaczęły się usuwać jak cień z pod drzewa. I myślałem sobie: znowuż pozostanę w osamotnieniu pod tym krzyżem! Nareszcie silne echo się rozległo:

— Młodzieńcze! bądź dobréj myśli, wrócisz! *)

Na ten głos, jakby iskrą elektryczną wstrząśnięty, porwałem się na nogi i przetarszy oczy, znalazłem *szyreta* stojącego ze swoją świtą nademną.

— *A tała myndu! szy hajzał toj* (a, witaj przyjacielu, tyś szczęśliwy!) powiedział do mnie.

— Dla czego, odparłem, *bi hajzał toj,* ja szczęśliwy?

— Wiém, odrzekł mi, że byłeś w lamazeryi i z głęboką uwagą przypatrywałeś się lamom nieruchomie siedzącym,

*) Niestety, z młodzieńca na wygnaniu stał się mąż w leciech dojrzały... lecz dotąd nie wrócił nad brzegi Huczwy, tęskne dni pędząc dotąd na wygnaniu. Przyp. Red.

a nawet i śpiącym, i z twego postępowania wnoszę, że rozumiész ich stan, że wtedy oni byli u burhana, tak téż i ty, gdy wdarłeś się na tę górę, pod to drzewo, które na naszym cmentarzu widziałem, zapewne modliłeś się pod niém, a potém byłeś zatopiony, pogrążony w swoim burhanie. Stałem długo nad tobą, przypatrywałem się twoim ruchom konwulsyjnym i słyszałem jęk twój; widocznie, że się jeszcze we śnie modliłeś. Téj opowieści *szyreta* trudno mi było zaprzeczyć. Było coś ze mną, ale co? Nie podobna mi teraz tego wypowiedziéć; może fantazya rozpuściła swe skrzydła, z czego na jawie trudno zdać sprawę. I z tego wszystkiego posiadam tylko wiadomość, że skoro się obudziłem, silnie głowa mię bolała od palącego słońca i że wyraz słyszany „*wrócisz*“ głęboko mi utkwił w pamięci. Nareszcie *szyret* podał mi rękę i powiedział: *tala, mini jurta!* (przyjacielu, moja jurta!) i pojechał daléj, a ja myślałem o powrocie.

Krzyż, pod który dotarliśmy, zdawało mi się, że stoi na samym szczycie, a gdy spojrzeliśmy przed siebie, to zaledwie na czwartéj części góry byliśmy. Piąć się daléj pośród mchu, pokrywającego czysty granit, gdzie każde drzéwko zaledwie wyrośnie, a już dla braku soków usycha, gdzie laska zapuszczona może się pomknąć, gdzie znaléźć się można tym sposobem u stóp góry z roztrzaskanemi członkami o kamienie, aby je ktoś potém zebrał i ułożył w bezkształtną massę na wieczny spoczynek: uważałem za nierozsądne.

Po odpoczynku więc, a raczéj po owym widzeniu moim, postanowiłem spuścić się z góry. Powrót niebezpieczniejszy był od wdziérania się; w prostéj linii uskutecznić tego nie podobna, ale w gzygzak. Całéj tedy przezorności używałem, aby całym się spuścić. Po pracy tedy ciężkiéj i mozole, ciągle gzygzakując, to się zsuwając, oblany rzęsistym potem, szczęśliwie dostałem się do stóp góry, podziękowawszy Bogu za jego opiekę. O, bo te góry straszne, przed któremi widz truchleje. Ten odłam gór Sajańskich ma z górą 10 tysięcy stóp wysokości, wedle pomiaru dopełnionego w roku 1872.

przez p. Jana Czerskiego, wygnańca, a obecnie konserwatora muzeum irkuckiego.

Przybyłem do pustyni Nila używać kąpieli, a zatém czasu miałem dosyć. Codziennie przechodziłem się pośród téj naturalnej alei, wyłożonéj kamieniami i wysadzanéj drzewami przez matkę naturę; a ten Ihehun, polujący po kamieniach, jakby mu śpieszno było utonąć w Irkucie, czyż nie życie nasze? Komuż ono spokojnie płynie? Poeta nasz, Józef Epifani Minasowicz, wielką prawdę powiedział:

O życie nasze, jak mi ty czarne
Myśli do serca pędzisz!
Człowiek cię lubi, choć go twa gubi
Gorycz, któréj nie oszczędzisz.

Małe i wielkie strumienie biją z pod gór i każdego z nich Buriaci świadomi są własności, przy którym natychmiast najbliższe drzéwko obwiészają wstążkami. Płynie tu źródło gorzkiéj wody, która, jak opinia chce miéć, skutkuje na oczy, i istotnie ma smak garbnika.

Przez Ihehun rzucony jest most, bo szczupłość gruntu w tym parowie nie pozwoliła, ażeby wszystkie gmachy na jednéj stronie rzéki zbudowano. Łączy on łazienki z cerkwią; otóż na lewéj stronie Ihehunu, chociaż straszne urwisko wisi nad nim, jakby co chwilę miało spaść w rzékę, wdarcie się jednak na nie jest łatwiejszém; tu ślad ludzkiéj pracy napotkałem. Albowiem wężykiem prowadzi ścieżka na nie i na samém urwisku, literalnie wiszącém nad rzéką, znalazłem ławki do siedzenia, na których, jak powiadają, Nil napawał się nektarem chińskim. Na skale wiszącéj, dziwne amatorstwo!

Tydzień cały bawiłem w téj pustyni; podczas dzikiéj natury czas mi szybko upływał. Nareszcie przybył woźnica dotąd polujący w górach, i zapowiedział mi, że pora wracać do Tunki. Jechaliśmy tedy tymże samym porządkiem. Do towarzystwa przybył nam jeszcze rodowity, czystéj krwi Mongoł, lama, w szkarłacie i w kapeluszu chińskim.

On jechał od źródeł Ihehunu, a teraz się wybrał z wizytą do swoich. Dopókąd opieraliśmy się o nadbrzeżne skały rzéki, i on jechał z nami w porządku, ale gdy się do-

stał na szérsze pole, zaciął konia i zniknął w pustyni. My, nie przyzwyczajeni do jazdy konnéj, jechaliśmy kłusa, a gdy dostaliśmy się na błonie, na którém porozrzucane jurty, i skoro przy jednéj z nich spostrzegłem cztéry wiérzchowce przywiązane do słupa, gdy mię objaśniono, że w niéj odpoczywa ów lama Mongoł, nie mógłem oprzéć się chęci przyjrzenia się z blizka temu potomkowi zastępów Dżengis-hanowych i czystemu synowi stepu.

Weszliśmy więc do jurty, i myndu (witajcie) na wszystkie strony posłałem. Po chwili zapytałem owego Mongoła, iżali przy obowiązkach swoich lamy trudni się léczeniem chorych, zwłaszcza gdy spostrzegłem chorą kobiétę w ubiorze naturalnym siedzącą przy ognisku, i opierającą się na kiju.

— Tak jest — odpowiedział mi, i zaczął mi pokazywać różne medykamenta zawiązane w pęchérzyki, tłumacząc przytém, jakie słabości niemi léczy, jak się one wyrabiają, i z jakich roślin. Z jego opowiadania nie wiele skorzystałem, ale stawię fakt, że radykalne lékarstwo na raka posiadają Mongołowie. Rząd rosyjski wyznaczył nawet temu nagrodę, ktoby o tém powziął wiadomość od nich, ale dotychczas jego staranie pozostało bez skutku.

Nareszcie ów lama o ciemno-brązowéj twarzy potraktował mię tabaką z kamiennéj szkarłatnéj tabakierki, ale swoim zwyczajem, bo mi łyżeczkę metalową z tabaką podsunął pod sam nos i ja w ten sposób po raz piérwszy, a może i otatni, zażyłem mongolskiéj tabaki. Potém ze wszystkimi się pożegnawszy, wyruszyliśmy daléj z powrotem.

W okolicy Szymek przyłączył się do nas Buriat, a na zapytanie, dokądby zmierzał, odpowiedział iż *tajsza* (najstarszy w rodzie z pokolenia, tyle co *han* między Tatarami) rozkazał, aby Buriaci zebrali się w kumirni (bałwochwalni), albowiem do niéj przybędzie archirej, i ma im coś ważnego powiedziéć. Zadowolniony z téj okoliczności, postanowiłem i ja pośród stepowców się wcisnąć. Im bliżéj byliśmy pagody, tém więcéj ich stojących lub siedzących spotykałem, a pod samą pagogą i lamazeryą mnóztwo się ich znajdowało.

Pośrodku nich był komisarz rządowy, który łącznie z z *tajszą* utrzymywywał porządek pomiędzy nimi.

W niedługim czasie przybyło konno dwóch *jejerejów* (popów) oznajmiając, iż wkrótce ma przybyć sam archirej. Komisarz tedy wezwał szyreta, aby się ubrał w swoje szaty odświętne. Przywdział więc na siebie rodzaj szérokiego szala jedwabnego, koloru żółtego, a na głowę włożył także żółtą jedwabną mitrę, zupełnie książęcą ze średnich wieków, i w tym ubiorze stanął obok walca, umieszczonego w przysionku pagody w towarzystwie lamów i licznego orszaku Buriatów Nareszcie dały się słyszéć dzwonki, co było znakiem rychłegn przybycia archireja irkuckiego. Cisza się zrobiła, a ja zająłem miejsce pośród stepowców. Znowuż przybyło dwóch popów z jego świty, a po nich i sam archirej.

Skoro wysiadł, rzucił tylko okiem na szyreta, a potém wszedł do pagody w towarzystwie komisarza i swojego orszaku, a po zwiedzeniu jéj zwrócił się z mową do stojących Buriatów w języku rosyjskim w ten sposób:

„Jak jest Bóg jeden na niebie i ziemi, i włada całym światem, tak téż i Car biały jest jeden na ziemi i panuje nad wszystkiemi ludami. Bóg, jako jeden jest prawdą, więc co i Car ogłasza, jest także jedyną prawdą na ziemi, i św. wiara, którą on wyznaje, najświętsze i najdroższe prawdy w w sobie zawiera; wszystko co po za nią, jest fałszem i występkiem. Jam wysłaniec carski, przynoszę wam pokój i szczęście na ziemi; nie odrzucajcie więc téj nauki, którą potężny i wszechwładny Car wyznaje. On jest dobroczyńcą ludów sobie podwładnych; w przeciwnym razie srogi gniéw jego na was spadnie. Przyjmijcie wiarę, którą wielki naród rosyjski wyznaje, a będziecie kosztowali owoców tych nauk, jakie św. cerkiew' prawosławna wydaje. Przyjmijcie religią naszę, raz jeszcze się odzywam, przyjmijcie chrzest św., którego przybyłem wam udzielić w imię Chrystusa, Boga naszego, którego wizerunki widzieliście w cerkwiach naszych; — przyjmijcie go i wszechpotężnego, a ten będzie zadatkiem łask bożych i carskich. Czy zrozumieliście moję myśl i cel mojego posłannictwa?“ — zakonkludował.

Na to pytanie ani jeden głos z rzeszy nie dał się słyszéć.

— Czemuż milczycie? — archirej się odezwał, ale ciszę tylko szum wiatru przerwał.

Komisarz i świta archireja tém milczeniem stepowców byli zainteresowani. Nareszcie jeden z popów, należący do świty, widocznie znający cokolwiek język buriacki, zagadnął szyreta w jego rodzinnym języku, czy zrozumiał mowę Jego Preoświaszczeństwa? Na co tenże się odezwał: *tołmacz ugej!* (nie masz tłómacza).

Wtedy to archirej pojął, że przez swoich słuchaczy najzupełniéj był niezrozumiany. Polecił więc owemu filologowi, ażeby im przetłómaczył jego mowę, ale ten niewątpliwie nie czując się na siłach w rosyjskim języku, powiedział tylko „Chrzcijcie się dzieci, chrzijcie! W roku przyszłym Jego Preoświaszczeństwo znowuż przybędzie i przyniesie z sobą obrazki, krzyżyki, chałaty i bieliznę, a przyjęcie będzie lepszém niż w roku zeszłym“.

Te ostatnie słowa zrozumieli Buriaci, ale jednozgodnie potrząsając głowami, powtarzali: *ugej, ugej!* (nie, nie). Archirej bystro i znacząco spojrzał na nich, cała jego świta z komisarzem podobnież, a Tajsza, ów pośrednik pomiędzy nimi a rządem, zachował postawę godną, spokojną, cokolwiek uśmiéchniętą, jakoby był rad z postępowania swoich podwładnych.

Poczém przezacni ojcowie misyonarze z tryumfującą radością na twarzy wsiedli do swoich taratajek, a stepowcy z wrzawą dosiadszy swoich rumaków, znikli w pustyni, pozostawiając głos w powietrzu: *ugej!* — na co z orszaku archireja odpowiedział głos: *skatina!* (bydlę). W czasie téj okoliczności szyret zachował się dumnie, milcząco; oczy jego czarne, ogniste, ciskały gniéw na wszystkich obcych, a gdy się rozbiérał ze swoich pontyfikaliów i mnie spostrzegł, powiedział do mnie: *mini tała bi ugej!* (mój przyjacielu — ja nie). Nareszcie wyjąknął słówko po rosyjsku: *eto warnaki!* (to łotry) *ugej, ugej!*

Skinął nareszcie na swojego giermka, aby mu konia podał, a dla mnie drugiego, w zamiarze zabrania mnie z so-

bą do jurty, ale fatalne warunki nie pozwoliły mi téj głowy hierarchii budhyjskiéj na stepie po drugi raz odwiedzić, pomimo dwukrotnéj prośby*).

Ależ jeżeli są misyonarze, to muszą być i neofici? — ktoś może mię zagadnąć. Na to odpowiadam: jedni i drudzy byli i są, ale w sposób następujący:

Na stepie Tunkińskim są dwa posterunki do nawracania buddhystów na wiarę chrześcijańską, to jest w *ułusie* Tała (wieś na 8 wiorst od Tunki), i w powyżéj wzmiankowanéj pustyni Nila.

Otóż w interesie jest ojców misyonarzy, ażeby byli katechumeni do przyjęcia chrztu św. za przybyciem ks. biskupa irkuckiego. Skoro tedy wieść przyniesie jego wizytę, zaufanych sobie ludzi wysyłają z prośbą i wielką obietnicą, iż gdy przybędą do przyjęcia chrztu św., wielkie otrzymają prezenta. Odbywa się nawet targ, ażeby prócz zwyczajnych rzeczy było im coś dodaném, np.: moneta srébrna, służąca do ozdoby warkoczy płci żeńskiéj. Skoro ugoda zawartą zostanie, istotnie przybywają, ale nie katechumeni, lecz *jasaczni* (płacący podatek w naturze), to jest już ochrzceni w różnych czasach i w przeróżny sposób zwabieni do przyjęcia chrztu św. Zachęta materyalna główną gra tu rolę, bo o zaszczepienie zasad chrześcijańskich nikt się nie troszczy. Ztąd to prócz nazwy chrztu i prezentu nieodłącznie do niego przywiązanego, nic więcéj nie wiedzą, i przybywając do piérwszego, o drugim tylko marzą. Skoro w ostatnim zawiedzeni zostaną, w roku następnym nie łatwo ojciec misyonarz może ich zachęcić do przybycia; przeciwnie, gdy oczekiwanie ich się spełni, z góry zapewniają go, że za daną wiadomością chętnie znowu przybędą**).

---

*) W kilka miesięcy w dzienniku Petersburskije Wiedomosti wyczytałem artykuł wyjęty z eparchialnych Irkutskich Wiedomosti, opisujący prace podjęte przez Jego Preoświaszczeństwo Benjamina, archireja irkuckiego w roku 1874., w celu nawracania Buriatów, których ja naocznym świadkiem byłem.

**) Bywają wypadki, że ci sami ludzie po kilkanaście razy chrzest przyjmują, żeby być obdarzonymi i to się nazywa nawróceniem na prawosławie.

W ten sposób prawie zawsze jedni i ciż sami stepowcy przybywają do przyjęcia chrztu św., i dla tego to wedle raportów urzędowych bez porównania więcéj de facto Buriatów figuruje już ochrzconych, aniżeli się znajduje wszystkich w całym stepie mieszkających.

Najnieszczęśliwszy jest człowiek nieświadomy swéj nędzy moralnéj. Mongoł i Buriat jest dumny; patrzy na obcego, jako na niższego od siebie, i gdyby mu dowiéść absurdu, najprzód nie zrozumié, a potém uśmiéchnie się nad moją głupotą, machnie ręką i odejdzie. Tak tu wszystko skamieniałe, jak te sajańskie iglice. O! wiele wieków musi się składać na to, aby w Mongole rozbudzić myśl samodzielną. Buddhyzm okuł go moralnie i materyalnie, i drgnąć mu nie wolno.

Ten język ich święty, tybetański, mało mu znany, chociaż w pagodzie w codzienném używaniu; on czyta, śpiéwa w tym języku, ale go nie rozumié. Lamowie i szamani utrzymują go w karbach, a wpływ mają wielki jedni i drudzy. O świecie zagrobowym Buriaci mają nader ciemne wyobrażenie, chociaż wierzą w duchy ukazujących się po śmierci przodków. Stepowiec chroni się od miejscowości, w któréj palą lub téż wyrzucają trupów; wszelkie ubrania po nich pozostałe uważają za nieczyste, i dla tego skazują je na spalenie.

Zadziwiającą jest pokora wchodzącego Buriata do pagody; on cześć bezgraniczną oddaje swoim bezdusznym burhanom. A cóż dopiéro powiedziéćby można, gdyby posiadał wiadomość o Bogu osobowym, dawcy wszelkiego dobra, i że w Nim i przezeń wszystko się dzieje? O! jemu potrzeba nauki ewengielicznéj, ażeby w tę formę tak upodobnioną do katolickiéj, wlać ducha; gdybym nie był namaszczeńcem i nie wierzył, iż będzie kiedyś jeden pastérz i jedna owczarnia, to wnosząc z obecnego stanu, z téj skamieniałości, mniemałbym, że wtenczas to nastąpi, gdy czas zamknie wieki.

Il est surprenant, qu'au fond de la politique et de toutes les scienses humaines, on trouse la théologie. Jeżeli w wielu kwestyach pomylił się Prudhon, to w tém głęboką

prawdę wypowiedział, że gruntem wszystkich umiejętności jest teologia, a jaśniéj mówiąc, religia wiążąca człowieka z Bogiem, żywym, osobowym i twórcą świata. Nie cywilizacya tedy abstrakcyjnie uważana, postęp obrażający wszystkie siły przyrody na swoję korzyść, ale religia, będąca w nas tchnieniem bożém, uszczęśliwia człowieka i ludy. Wprzód wiedziała ludzkość o Bogu, aniżeli o sile pary i o telegrafach.

W obec ogromnego krzątania się w dziedzinie przyrody, ta prawda może być na pewien czas przygłuszona, jak to obecnie pozytywizm, odziany w gwiaździsty płaszcz swój, burmistrzuje na wszystkich rynkach wielkich miast Europy; ale nigdy usuniętą na drugi plan, lub téż poczytaną za absurd. Okopując drzewo, gdy podetniemy korzeń serdeczny, po pewnym czasie on usycha. Prawda nie sługa, nie zna co to pany, nie da się okuć przemocą w kajdany.

III.

Ten wyraz: „wrócisz!“ słyszany w mojém marzeniu pod krzyżem, głęboko mi utkwił w pamięci; ażali on nie jest zwiastunem prawdy, dotąd dla mnie ukrytéj? Zadawałem sobie to pytanie w czasie powrotu do Tunki. Istotnie, po przybyciu do niéj szczęśliwie, zastałem prywatne wiadomości, ażebym przybył do Irkucka, zkąd mogę wyruszyć na Zachód.

Każdy dzień ma swoje dzieje, tém bardziéj epoka od 5go Maja 1866go r. do 20go Czerwca 1875go r., w którym opuściliśmy niegościnny step. Przed wyjazdem tedy nader słuszną, abym opowiedział dzieje naszéj kolonii i swoje własne, bo rachunek z czasu nigdy niepowrotnego winniśmy zrobić. Człowiek ma w udziale pracę, więc bezczynność, wegetacya, daleką być winna od niego. Królestwo nieorganiczne nie ma także jednostajności, ale ma chwile jedne ciche, spo-

kojne, a drugie pełne uraganów i buranów (wiatry północne na Syberyi); i tutaj jest historya.

Wieś Tunka pod względem administracyjnym należąca do okręgu i gubernii Irkutskiéj, to forteca naturalna. Od północy góry najeżone samemi iglicami, od południa także, z odmienną tylko cechą ich szczytów; na zachód jedna konna ścieżka po skałach prowadzi do Mongolii, a na wschód także jedna, lecz wozowa droga, pośród ciemnych, gęstych borów, prowadzi do miasta gubernialnego Irkutska. Do niéj tedy zebrano wszystkich kapłanów wygnańców ze wschodniéj Syberyi, to jest z dwóch guberni: Irkutskiéj i Jenisiejskiéj, i z obwodu Jakuckiego. Rok 1866. stanowił tego początek. Czy z troskliwéj opieki nad nami, czy z obawy jakiego wpływu na rozrzuconych po wioskach ziomków rząd powziął tę myśl? trudno wiedziéć. Przybywaliśmy do niéj w różnych czasach, sądzeni na posilenije (osiedlenie) wprzód, aniżeli ci co byli skazani do robót i do brząkadeł.

Miészkaliśmy różnie, w domach włościańskich, stósownie do okoliczności i potrzeby. Domy ich wszystkie jednakowe, zbudowane z okrąglaków. Mają one dwie połowy, a w każdéj jedna izba, w któréj jednę czwartą przestrzeni zajmuje piec. W około ścian są ławki, bo u Syberyjczyków łóżka nie są w używaniu. Pod podłogą znajduje się dół na kartofle, zwany *podpole*, obok pieca, w równym z nim poziomie, jest powała, zwana przez nich *pałatije*, na któréj podczas mrozów wygrzewa się zziębnięty Syberyjczyk.

Z tytułu podpola, ogromna różnica w temperaturze u góry sufitu i na podłodze; tu woda marznie, a tam 16 stopni ciepła. Okna ma on z miki (zwanéj po syberyjsku *śluda*), ale dosyć jasne. W jednéj połowie tego domu mieszkałem z kolegami i płaciliśmy miesięcznie 2 ruble z drzewem i kawałkiem ogrodu. O obsłudze u Syberyjczyka mowy być nie może; on chętnie na wszystko się zgodzi, dopókąd należności na kilka miesięcy wprzód nie przyjmie. Skoro ją uzyskał, to już pan, i zawezwany do roboty, z całą bezczelnością odpowiada: „Nie jesteś lepszy odemnie, zrób' sam“. — Wstydu rumieńca on nie zna, ale bluźnierstwa najochydniejsze takowy wynagradzają. Robiliśmy więc wszystko sami:

drzewo rąbali, wodę nosili, chléb piekli, około trzody chléwnéj chodzili, jeżeli takową kto posiadał, jedném słowem: wszystko.

Braciszek kapucyński z Lędu, kucharz klasztorny (Karól Chodkiewicz), był naszym instruktorem w nędznych naszych przygotowaniach gastronomicznych, i był powagą dla nas w téj mierze. Początek zwykle najtrudniejszy; ja najzupełniéj nie umiałem gotować jakiéjkolwiek zupy, a teraz potrafię chociaż dla siebie. Ciasto na chléb własną ręką wyrabiałem, i takowy był dobry dla mnie. Takich to specyalistów wygnanie z nas porobiło! Boga tylko prosiłem, aby, jeżeli pracować, to dla siebie, a nie dla obcych, a blizko było tego. W ogrodzie toż samo własną ręką sadziłem kartofle, kapustę, buraki, marchew', tytóń, a potém zbiérałem.

Kopanie kartofli najwięcéj mnie kosztowało, albowiem za każdą razą ciężkiego zawrotu głowy doznawałem; nie było ratunku, samemu potrzeba było pracować. Tytóń własnéj plantacyi, zwany u Syberyjczyków *mahorką*, paliłem, którego dym każdegoby Europejczyka zakrztusił — na inny nie miałem funduszu. Obiad stanowiła jedna potrawa; z rana i wieczór herbata cegiełkowata (*kirpicz*), w któréj znaléźć było można muchy, komary, a nawet jaszczurki z dzierżaw pana niebieskiego; nie było środków na inną.

Pensya początkowo rubli 3, a w r. 1876. podniesiona do 6ciu, przy najskromniejszém utrzymaniu zaledwie wystarczała na pożywienie, a gdzież załatwienie innych potrzeb, np. bielizna, ubranie i t. d. Gdy byliśmy zamknięci jak w twiérdzy, gdy każdy list przechodził ogień cenzury, gdy wszelki fundusz nadesłany z kraju potrącony był odpowiednio pobieranéj pensyi, o! nader ciężko było żyć! Ze sprzedanych moich rzeczy raz mi tylko przysłano rubli 50, i te niestety mi potrącono.

Nic nie miałem, a ratować się od nędzy było niepodobna, gdyż fatum nieprzyjazne ciężyło nademną. Komunikacya utrudniona, gdy popłoch paniczny zaległ serca kraju, a nadzieja lepszéj przyszłości gdy coraz bardziéj ulatywała, to łza i westchnienia były na porządku dziennym. Ognie bu-

chały w méj głowie jakby w wulkanie, i dziwię się i dziękuję Bogu, że pomimo tego wszystkiego siwizna jeszcze nie siadła na méj głowie. Liczba nasza stopniowo się powiększała, i najmniejsza cyfra była 153.

W celu ratowania się od nędzy założyliśmy Towarzystwo Wzajemnéj Pomocy w 1868ym r. Nie zawsze niedola łączy ludzi, ale i upadla ich często. Zesłani do brząkadeł, będąc zamknięci razem, wprzód uczuli potrzebę wiązania się w towarzystwo, aby opiérać się nędzy, aniżeli na posileniju. Albowiem chociaż przed tą epoką wiele razy podnoszono kwestyą o Towarzystwie Wzajemnéj Pomocy, czy nie trafnie, czy nieszczęśliwie występowano z tą propozycyą, dość, że przyjętą nie była.

Z przybyciem tedy wielu z tą ideą, zrealizowaną już w katorgach, myśl ta będąc w obiegu pomiędzy posileńcami, przybrała charakter praktyczny.

Do zawiązania Towarzystwa znakomicie przyczynił się ks. Erazm Kluczewski, prefekt szkół gimnazyalnych w Niemirowie na Podolu, z powiatu Bracławskiego; i za to mu cześć. Uczciwa sława już go uprzedziła, i szczęśliwym był, że je wprowadził w wykonanie.

Początek zawsze trudny, ale przy dobréj woli stowarzyszonych piérwsze lody pękły. Towarzystwo to zależało na tém, że każdy od jednego rubla miesięcznie płacił składki gr. 6 (3 kopiejki). Z téj tedy kwoty i z funduszu pożyczkowego bezprocentowego, którego zamożniejsi koledzy udzielili, zakupywano wszelkie artykuły żywności hurtem i takowe na kredyt wydawano do przyszłéj pensyi bez żadnego procentu; postronni zaś, t. j. miejscowi miészkańcy, takowy opłacali, służący do opłaty komornego, administracyi, a zarazem do powiększenia kapitału naszéj ubogiéj składki. Ale to nie wiele pomogło. Wysokość ceny na mąkę z powodu nieurodzaju, na mięso z tytułu zarazy mongolskiéj, która na całym stepie $1/3$ bydła wymiotła, stawały temu na przeszkodzie. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, i do dna gorycz z kielicha wygnania potrzeba było wychylić. W r. 1869. pozwolono nam dopiéro wyjeżdżać w okolicę dla zakupywania artykułów potrzebnych.

Życie płynęło mi w Tunce monotonnie jak godziny na zégarze, jedna do drugiéj podobna. Uśmiéch naturalny nie miał do mnie przystępu, duch zabity, a ciało nie raz zgłodniałe. Wlókłem swe życie jak ptak postrzelony; zamiast życia, otrętwiałość, apatya do wszystkiego. Chciałem uciekać w bory, w lasy, w puszcze, knieje i tam zamiészkać zdala od ludzi, gdy oni o mnie zapomnieli. I nic, i cisza, i grób na stepie pozostaje mi tylko — myślałem sobie nie raz.

Tak! spełniło się, powtarzałem sobie codziennie. — Pośród to takiéj nostalgii płynęło mi życie. Śmierć kolegów łzy mi wyciskała.

Na lewym brzegu Irkutu, nie daleko cerkwi drewnianéj, założyliśmy cmentarz, i ze składek ogrodziliśmy, co nas z górą kosztowało rubli 150. Dopókąd bawiliśmy w Tunce, parkan był w należytym stanie, ale po wyjeździe naszym, jedynie dla żelaza, na które jest chciwy każdy Sybirak, zapewne pójdzie na spalenie i prochy śp. kolegów wiatry roznioszą po stepie. Tam pochowaliśmy 19tu kolegów; tam złożeni na wieczny spoczynek, czekają, dopóki trąba Archaniołów nie wzbudzi ich na sąd ostateczny. Nader przykre i bolesne pogrzéb sprawiał wrażenie; odprawiony w milczeniu, w otoczeniu wieńcem zmarłego, a ostatnia bryłka ziemi rzucona w jego grób, śmiertelnym dreszczem przejmowała z nas każdego. Nie mieliśmy szpitala; lékarzy miejsce zastępowali koledzy nasi, księża Czajewicz i Drewnowski, doskonale znający się na sztuce lékarskiéj, mianowicie ostatni. Ja widoczny przyznaję palec Boży nad sobą, że prócz trzech niebezpieczeństw grożących mi śmiercią, ani razu obłożnie po dzień dzisiejszy nie chorowałem.

Jako pozbawionym praw stanu, nie wolno nam było podpisywać się „ksiądz“ ani w listach, ani na aktach urzędowych. List przychodzący z kraju z tym tytułem, ulegał konfiskacie, albo oddawany był zamazany lub wycięty do połowy tak, że ledwie cokolwiek z niego wyczytać można było.

Poczta do Tunki dwa razy na tydzień przychodziła i gdy głos dzwonków się rozlegał, radość w nas wstępowała, iżali

wieści nie przynosi od swoich. Oddawana nam była za pośrednictwem naszéj zwiérzchniéj władzy, i my niezapieczętowane listy w jéj ręce składaliśmy. Z tytułu ogromu zesłańców na Syberyą w mieście gubernialném Irkutsku przy jenerał-gubernatorze Wschodniéj Syberyi ustanowiony został oddzielny wydział dla załatwiania spraw wszelkich z przestępcami politycznymi, noszący tytuł: *Czasowy wydział przy jenerał-gubernatorze Wschodniéj Syberyi dla nadzoru nad przestępcami politycznymi.* Otóż ten wydział wszelkie listy i posyłki bezwyjątkowo adresowane do nas z poczty przyjmował, przepatrywał i późniéj dopiéro nam odsyłał. Członkowie tego wydziału prawie corocznie nas odwiedzali, przyjmując zarazem wszelkie zażalenia nasze, i na jego zaszczyt powiedziéć mi należy, że gdy fundusze nadsyłane z kraju wygnańcom w ilości przeszło 14 tysięcy rubli przepadły skutkiem sprzeniewierzenia się jednego urzędnika w ziemskim sądzie, takowe wyeksekwował i każdemu poszkodowanemu najakuratniéj doręczył. Urzędnik, który się dopuścił téj kradzieży, został oddany pod sąd, pozbawiony praw stanu i wysłany został do obwodu jakuckiego na wieczne osiedlenie.

Stepowa monotonność była jednak przerywaną.

Cyfra 153 powoli się zmniejszała, a przez mój wyjazd z kolegami jeszcze niżéj spadła. Towarzystwo Wzajemnéj Pomocy, istniejące pomiędzy nami w celu bronienia kolegi od nędzy przez zakupywanie hurtem wiktuałów, jako już niepotrzebne, w Grudniu 1874. roku rozwiązane zostało. Wzajemna pomoc pośród życia wygnańczego, to jedyna idea, która opiérając się na miłości bliźniego, jeśli uczciwie pojmowana i zachowywana, zdolną była w obec srogiego przeznaczenia ratować nieszczęsnych rozbitków od nieuchronnéj zguby, i rzeczywiście ratowała.

Warunki wygnania są straszne; pomimo tego niezapomnieliśmy i o strawie ducha. W celu przywoływania na pamięć ciągle przeszłości naszéj, odbywały się prelekcye z dziedziny duchowéj. Wydawane było pismo peryodyczne (pisane) pod tytułem: „*Wygnaniec*“, z tendencyą, aby rażonych letargiem budzić, słabych i zdrętwiałych orzeźwiać, a wszystkich do wytrwałości zachęcać.

Ależ jak wszystko na świecie, tak i ono zabłysnąwszy na tunkińskim horyzoncie, znikło, zostawiając tylko ślad po sobie. O Siérpniu 1869. roku również nie zapomnieliśmy. W urządzeniu całéj téj uroczystości cześć i wdzięczność się należy bratu Wacławowi Nowakowskiemu, klerykowi OO. Kapucynów z Lublina (niegdyś bibliotekarzowi w bibliotece Świdzińskich), dla tego to chlubnie przychodzi mi zapisać jego nazwisko. — Zapewne nie pomyślano na Przedkarpaciu, że i w głuchych puszczach mongolskich jednocześnie zanosiliśmy modły do Pana na Niebiosach, i uświęcaliśmy z radością ślub Polski i Litwy.

Pomiędzy włościanami tunkińskimi popłoch paniczny panował na samę wieść o naszém przybyciu. Stosunki mieli z nami o tyle, o ile nie przebiérając w środkach, potrzeba ich nagliła, aby coś od nas uzyskać. Na pensyą wypłacaną nam od 1866go do 1go Lutego 1874go roku, zawistném okiem patrzyli. Nie było przykładu, aby 153. ludzi przysłano do jednéj wioski na miészkanie; jeżeli zdarzały się pojedyńcze wypadki, to prędko element obcy się rozpływał i tracił tym sposobem piérwiastkową barwę. Opowiadanéj tedy nadzieji naszéj o mającym nastąpić kiedyś wyjeździe najmniejszéj nie dawali wiary, a jeżeli przyznawali możność takowego, to fałszywie, obłudnie, li tylko dla pochlebstwa. Nie mogli oni tego rozumiéć, bo i nie rozumieli naszéj pozycyi. Tymczasem gdy w r. 1872gim wyruszyło dwudziestu, zaczęli dawać wiarę, że mlékodajne krówki wszystkie zapewne opuszczą pustynią, a ztąd żal ukryty, a na zewnątrz bezinteresowna obojętność.

Ale nie należy sądzić, jakoby to pochodziło z jakiegoś przyzwyczajenia się do nas, zżycia się z nami, a témbardziéj z życzliwości! Nie! Tak mniemać, to za wiele by było wymagać od włościanina tunkińskiego, to jedynie z powodów materyalnych. Włościanin tamtejszy grosza nie widzi, a z tytułu niepowstrzymanego pociągu do opilstwa, nigdy go nie utrzyma.

Pieniądz tedy ma wysoką u nich wartość. My zaś, jakkolwiek nader ograniczone mieliśmy fundusze, ale przy oszczędności zawsze one były, co wywołało u nich niechęć,

zazdrość; i jeżeli włościanin przez swoich sąsiadów odepchnięty został, u nas zawsze znajdował oparcie, albowiem każdy artykuł z gospodarstwa domowego, w każdéj porze mógł spieniężyć. Z tego więc tytułu mogą nas żałować, ale żalem krótkim, efemerycznym. Jednakże pobyt nasz mieszkańcom Tunki na długi czas pamiętnym zostanie, z powodu zbudowania nowych wielu domów za pośrednictwem naszego funduszu, albo téż z własnéj inicyatywy w nadzieji nowych lokatorów.

— Po co budujesz dom? — mówiłem do mojego gospodarza — gdy my wszyscy wkrótce od was wyjedziemy?

— Innych Polaków znowuż przyślą! — odpowiedział mi z pewną wiarą w swoje przekonanie.

Czyżby Mikiszka z nad Archaliku (ruczaj w Tunce) miał być czarnym złowieszczym ptakiem?

KONIEC.

Podróż do Syberyi

i Powstanie nad Bajkałem.

Petersburg 8go Października 1865.

Dojeżdżając do tego gniazda despotyzmu, byliśmy spotykani na kilka wiorst od miasta przez gromady żołnierstwa, pomięszanego z różnéj barwy proletaryatem, które nas witały nieznanemi wcale w narodach cywilizowanych wyrazami. Massa pięści podniesionych w górę, groziła nam, a wściekłe i roznamiętnione oblicza świadczyły same za siebie, że gdyby nie szybkość koleji, gotowi byli rzucić się na nas z kijami i kamieniami. — Dzięki wynalazcy pary, żeśmy tego uniknęli.

Po przybyciu na dworzec otoczono nas bagnetami i ztąd pognano do miasta, pozwoliwszy do przewózki rzeczy użyć doróżek (naturalnie za nasze pieniądze), które krok w krok postępowały za nami po za łańcuchem konwojowym.

Na jakiéj ulicy i w którym punkcie miasta? nie wiém, bo było to już w dobrym zmroku, usłyszeliśmy wykrzyknik: „Stój!“ Wprowadzono nas przez otwartą i zaraz za nami zaryglowaną bramę, między jakieś wysokie z obu stron mury. Przechód ten był dosyć ciasny i ciemny, aż wreszcie wyszedł na nasze spotkanie jakiś wyższy stopniem oficer, mówiący po polsku, a przejrzawszy papiery, jakie były przy konwoju i przeliczywszy nas wszystkich, odezwał się w te słowa:

— Okuci zostaną na dole, a wolni od kajdan udadzą się na górę ot po tych wschodach!

Do ostatnich należałem i ja. Weszliśmy tedy wraz z resztą towarzyszów na wskazaną drogę, i o ile mi się zdaje, na drugiém piętrze umieszczono nas w lokalu dosyć przyzwoitym, bo o froterowanych posadzkach, obitych ścianach i zaopatrzonych w wygodne meble. Z koleji doręczono każdemu tłumoczek i oświadczono: że wolno nam jest (rozumié się za swoje pieniądze) żądać pokarmów i napojów z miasta, ku czemu przeznaczona jest ad hoc odpowiednia usługa. — O ile więc kto chciał i mógł, korzystał z téj łaski.

Tu już zastaliśmy naszych wysłanych poprzednio z Warszawy, którzy pod pozorem, czy zmyślonych interesów, czy słabości, przedłużali ile mogli swój pobyt, dla ułatwienia czy korespondencyi, czy téż widzenia się z potrzebnemi osobami.

Co do mnie, jakkolwiek opuściłem kraj i rodzinę z trudnym do opisania żalem, znalazszy jednak tutaj kilku dobrych znajomych, zyskałem jakoś na humorze i z prawdziwą radością wcisnąłem się w ich kółko. Wspólne gawędy po uściskach i wspólne rady i opowiadania o tém, co było i jak było, nie mniéj stoicka obojętność kolegów na teraźniejszość, doprawdy że i mnie jakoś tak umocniły na duchu, że drugiego dnia już i ja mógłem otrząsnąć nieco ze smutku, jaki się wkradał do duszy. Pomiędzy innymi był tu p. K., już powtórnie na wygnanie jadący, a że takoż prawnikiem był z zawodu, przylgnęliśmy tedy do siebie i zasiedli w kółko gawędy.

Ztąd dopiéro wyniósłem objaśnienie, że dom, w którym nas ulokowano, jest to ów pałac Poniatowskiego, przez Katarzynkę zbudowany; struktury jednak i obszerności wcale nie widziałem, bo okna nasze wychodziły na jakiś ganek drewniany, długi, obsiadły masą gołębi, i nie dostarczały żadnego obszérniejszego widoku.

Odwiédzał nas tu potomek rzezaka naszéj nieszczęśliwéj Pragi*) bardzo grzeczny, wypytując się prawie każdego po szczególe, czy nie mamy jakich próśb ze względu na

*) Książę Suwarów-Italiński. Przyp. Wyd.

swoje położenie. Nie zatrudniliśmy go jednak żadną, co go jednakże zdziwiło nie pomału.

Samym zmrokiem przybył do nas oficer, ten sam który nas przyjmował. Jak się dowiedziałem, był to jegomość przeznaczony ad hoc do nadzoru nad politycznymi, jadącymi na wygnanie, a zatrzymywanymi w owym pałacu, i oświadczył nam, że ci wszyscy, którzy jadą na prawach szlacheckich, odprawieni będą we Środę o godzinie 11. przed południem do Moskwy.

Otóż tedy pan K., jako stary Sybirak, mając jeszcze pewność pozostania w Petersburgu, nie szczędził dla nas nowicyuszów wszystkich rad i spostrzeżeń, już przez eń w téj otchłani praktykowanych, a prócz tego zagaiwszy wieczór w wigiliją odprawki, tak się odezwał:

— Radzę wam, kochani towarzysze, aby każdy co się tyczy sprawy ogólnéj *aller jusqu' au bout*, tém więcéj, że jadąc tam, spotykać będziecie po drodze wielu *dobrych synów Ojczyzny*, który postanowiwszy raz *podkopywać ów gmach* ciążącego na nas jarzma, *podkopują go ciągle i podkopywać nie przestaną.* Są plany, do których i ja rękę przykładam, a które aby były tak tylko wykonane, jak je nakréślono — to ogłoszą one barbarzyńskiemu światu, *że czas już*, aby despoci runęli całym ciężarem zbrodni.

Wiele i wiele jeszcze dawał nam różnych obrazów i tajemnic o tém co się święci i powtarzał z całą namiętnością patryoty, że każdy dobry Polak powinien przyjąć udział w téj budowie. Po zakończeniu przez niego tych gorących słów powstańca, zdawało nam się, że każdy z nas gotów już jest do wypowiedzenia wrogom nowéj walki, i w takiém usposobieniu udaliśmy się na spoczynek.

Usypiałem z tą myślą, że ów pałac był początkiem naszego policzkowania, i że bardzo być może, że z niego wyjdzie nawzajem początek *odwetu.*

Nazajutrz, każdy już był zajęty uporządkowaniem manatków, a około godziny 9téj wyprowadzono nas na tę samę drogę, którąśmy przybyli, obliczono jak owce, i po gorących uściskach z pozostałymi tu kolegami, przeprowadzono nas do koleji moskiewskiéj.

Kiedym za dnia mógł lepiéj widziéć ten budynek, zwany pałacem szanownego *Stasia*, znalazłem go więcéj podobnym do więzienia, niż do miészkania policzkowanego 'króla.

Moskwa, 13go Października 1865.

Tutejszy lud przyjął nas, jak to mówią, jako *nieszczasnych*. Taka sympatya okazywana tu jest każdemu zbójcy, podpalaczowi, złodziejowi i wszystkim cywilnym zbrodniarzom. Wypływa ona z fanatyzmu prawosławnéj teologii, którą ślepo tłumaczą: że żaden zbój nikogoby nie zabił, gdyby go tam nie posłał Bóg. Chciano nas obdarzyć to pieniędzmi, to różnemi wiktuałami, a nawet garderobą i bielizną, aleśmy nie korzystali z tego miłosierdzia, i pięknie podziękowali tym, którzy dali byli pobudkę téj śmiésznéj filantropii *).

Ze stacyi koleji odprowadzono nas pod bardzo bezpiecznym dozorem stu najmniéj bagnetów do koszar, zwanych Kałamażnyj Dwor. Tam zastałem politycznych zesłanych z rozmaitych stron Polski około kilkuset. Znajdowały się między temi całe rodziny ze Żmujdzi, których budynki i cały dobytek popalono w skutek rozkazu wielkiego archanioła (Michała) Murawiewa, a ich, w czém kto był, dobrze obatożonych, na podwody i do Syberyi, owego ziemskiego piekiełka.

Okrutnie utkwiły mi w głowie i w myśli słowa pana K. Pragnąłem dla tego jak najprędzéj spotkać się z kimś takim, coby potwiérdził ich egzystencyą; ale w takiéj massie nie szło mi tak łatwo, i musiałem uciéc się do cierpliwości w obchodzeniu i zobaczeniu wszystkiego i wszystkich. Siedząc tu dni parę, znalazłem znajomych z oddziałów: Langiewicza, Czechowskiego, Kononowicza, Grylińskiego, Chmielińskiego, Rębajły i innych. Jak to mówią, im daléj w las, tém więcéj drzéw; z każdą godziną odkrywała się nowa znajomość, i znalazłem wreszcie choć cząstkę tego czegom szukał.

---

*) Zdaje nam się, że tutaj autor jest niesprawiedliwym. Gorycz wygnania obrzydziła mu nawet oznaki współczucia ludu rosyjskiego dla „nieszczęśliwych“, które inni wygnańcy inaczéj ocenić umieli.

Przyp. Wyd.

Z godną podziwienia gorliwością tak młodzież jak i poważniejsi zajęci byli w ugrupowanych kółeczkach myślą o wyswobodzeniu się z niewoli. — Projektów i planów moc. Jedni byli za ucieczką, drudzy za organizacyą zbrojną. Ci co marzyli o ucieczce, byli za rozdziałem na niewielkie partyje i wykonaniem jéj z kilku punktów w trakcie podróży. Organizacyja zaś zbrojna przeważnie była zdecydowaną w ostatnich dwóch guberniach Wschodniéj Syberyi ze względów na granicę buharską lub mandżurską. Pomyślałem sobie: gdzie środki? Czy w kraju nieznanym, podobieństwem jest przedsięwzięcie podobne? Nie przyjmując przeto żadnych stałych prac i obowiązków, postanowiłem działać swobodnie i niezależnie.

Codziennie nieledwie wyprawiano jakąś partyją w dalszą podróż, a przy każdéj takiéj wyprawie dały się słyszéć pożegnania: „Do widzenia w Tobolsku!“ Przyszła koléj wyprawki i na mnie.

Niżny Nowogród, 22go Października 1865.

Ze stacyi koleji zapędzono nas do jakiegoś kiepskiego lokalu, zwanego domem etapowym, nad Wołgą. Ciasnota, brud i obrzydliwe powietrze przy nagromadzonéj liczbie ludzi, jakby mówiły o tém, co będzie daléj. Gburowatość, zrosła z grubijaństwem tak zwanéj miejscowéj władzy, wzmagała tylko gorączkowe nasze usposobienia, lecz na szczęście z powodu kończącéj się już w tym czasie żeglugi parowéj po Wołdze, wyjechałem ztąd dosyć szybko do Kazania. Nie zastałem tu żadnego z emisaryjuszów, o których wspominał pan K. Widocznie nie znaleziono w tém miejscu odpowiedniego gruntu do podobnych zasiéwów. — Odpływamy tedy do Kazania, jak mówiono, na ostatnim kursującym w tym roku parochodzie.

Przy wylądowaniu aż mi dusza drżała, gdym zobaczył kilku myśliwych, wracających z polowania po wyspach Wołgi, obładowanych szarakami. Z lądu pognano nas piechotą do Kazania, coś około wiorst siedmiu, a kiedyśmy przybyli do owéj stolicy niegdyś hanów tatarskich, była już go-

dzina dość późna wieczorem. — Przechodząc przez miasto, widziałem tylko w suterenach sklepionych piramidy pięknych owoców.

Kazań, 28go Października 1865.

Tutaj ulokowano nas w tak zwanym domu więziennym (*Ostrogu*). Ciasno, brudno, powietrze zgniłe; ściśnienie okrutne; ani noża, ani tytoniu nie wolno nosić przy sobie, zaledwie jedne łyżki od tego wyłączone; politycznych massa, prawie jeden na drugim.

Znalazłem zaledwie kilku znajomych młodych rodaków, wysłanych z Warszawy jeszcze z czasu demonstracyi, skazanych do służby wojskowéj; a że przed wcieleniem ich do batalionów, żądano złożenia przysięgi na wierność Najjaśniejszemu Despocie, ci zaś wykonania takowéj odmówili, więc oddano ich powtórnie pod sąd wojenny, który zamienił im piérwszy wyrok na ciężkie roboty w sybirskich kopalniach przez lat 12 lub 15.

Ja zawsze szukałem swego i pod rozmaitemi pozorami chciałem koniecznie przekonać się o prawdziwości słów pana K. Rzeczywiście po kilku dniach bytności, natrafiłem na nitkę. Było ich kilku, którzy może za zbyt ostrożnie, ale starali się rozrzucić swoje zasiewy. Usłyszałem kilka nazwisk ze stronnictwa propagującego ucieczkę, i jakoby stanowcze postanowienie, że ta rozpocząć się ma dopiéro w gubernii tomskiéj, a kiedym wspomniał, że jest podobno jakiś drugi plan, więcéj awanturniczy, powierzono mi pod sekretem (jak zwykle) wiadomość, że stanowczy plan czegoś podobnego, zbrojne powstanie, układa się w Tobolsku, gdzie już jest wiele osób to stronnictwo składających. Wskazano mi także na Kungur, że tam mogę mieć dokładniejsze objaśnienia. Pominę milczeniem przejazd przez całą gubernią kazańską. Niwa polityczna pusta; postępowanie tylko władz etapowych z nami doprowadzało nas nieraz do rozpaczliwych kroków. Po wszystkich pół- i całych etapach były to czysto czaty rozbójnicze.

Rozbierano każdego do koszuli, otwiérano tłómoki, a

pod pozorem zakazanych rzeczy, jak: noży, scyzoryków, widelców, tytoniu, atramentu, piór i ołówków, spełniano na nas po prostu rabunki, zabierając gwałtem rzeczy do tych kategoryji nie należące. — Nie mogę tu pominąć oryginalnéj sceny z perfumami jednego z naszych. W tłómoku przerzucający zbir znalazł dość spory flakonik milfleru (millefleurs), z chytrością więc odkorkowywa i wącha; a że widocznie zapach mu się podobał, nazwał więc to po swojemu: *„wot charoszoje wino“* — i wymówiwszy te słowa, przechylił flakonik w otwarte usta i wylał tyle, ile mu się tam zmieścić mogło. Kiedy przełknął, oczy stanęły mu kołem, zaczął krzyczéć gwałtu, że to trucizna, a my dla śmiéchu potwierdziliśmy, że prawda. Było to na półetapie w jakiéjś wsi tatarskiéj między Kazaniem a Ochańskiem, gdzie nie było oficera, tylko głównym rządzcą podoficer, właśnie sam bohatér. Z wielkim tedy hałasem i groźbami, naturalnie dobrze nas obrabowanych i żelżonych, wywieziono z półetapu do następującéj stacyi Ochańska.

W Ochańsku mało nie przyszło do krwawych scen. — Pan oficer, komendant etapów, o polskim nazwisku, bo Rychlicki, infamis w całém znaczeniu tego słowa, zdobywał się na różne prześladowania, odzywając się w głos: „że mu jest wiadoma, iż Polacy myślą tu o powstaniu“.

Nikogo z politycznych nie było; — przejechałem tedy całe dwie gubernie: kazańską i wiatką, nie zdobywszy nic do swéj teki.

Kungur, 15go Listopada 1865.

Przybyliśmy tu wieczorem dosyć późno; ulokowano nas w zamku więziennym, mającym front zakratowany. Nie więcéj jak wpół godziny przyniesiono z miasta pod moim adresem transport smacznego, jak na ów czas, pożywienia, składającego się z kotletów z kartoflami, masła świéżego, bułek, chleba, oraz — o dziwy! dobréj porcyi kawy ze śmietanką. W głowę zachodziłem od kogo to? — ale że, jak to mówią, „woły kręciły się dobrze“, więc po wyrzeczeniu na cześć swego chlebodawcy szczérego *Bóg zapłać!* — podzieliliśmy się tą

paszą z kolegami i następnie udali się na spoczynek. Nazajutrz rano zjawił się z miasta do naszego więzienia Józio P., były komisarz narodowy w Sandomiérskiém województwie, mąż pani Jadwigi z Wojciechowskich, zagorzałéj polskiéj patryotki, która przez cały czas egzystencyi Langiewicza w Polsce Kongresowéj nie opuszczała jego obozu, dziś jako zesłanéj przez najazd i przemiészkującéj w Kungurze. Dowiedziałem się dopiéro, że to od nich pochodził wczorajszy posiłek. Pan Józef, miészkając tutaj z zesłaną żoną, jako dobrowolnie przybyły, porobił sobie stosunków na tyle, że na jego porękę wypuszczono mnie na parę godzin z więzienia do miasta, które z prawdziwą przyjemnością godną pamięci przepędziłem w ich towarzystwie.

Pan Józef w kraju był mojim zwiérzchnikiem po służbie narodowéj, a w latach młodości kolegą szkólnym na jednéj ławie. Jakkolwiek sam dobry Polak i poświęcony sprawie ojczystéj, przy rzadko praktykowanéj energii swéj żony, i tu nie stracił dobrych myśli o sprawie, i chętnie przykładał rękę do tego wszystkiego, co tylko dawało nadzieję oswobodzenia się od najazdu.

W poufałych tedy pogawędkach dowiedziałem się wielu rzeczy. Wskazano mi punkta, w których główni działacze pozostają, objaśniono mnie o celach i środkach, jakiemi się robota ma posiłkować, o postępie dotychczasowych działań. Tobolsk, Krasnojarsk, Kańsk, Irkuck, wymieniono mi jako ogniska, w których dojrzéwać mają prace Polaków. Tu piérwszy raz dopiéro, oprócz Pawła Kandowskiego, Józefa Szlenkera, usłyszałem nazwiska: Szaramowicza, Michałowskiego, Wrońskiego, i kilku jeszcze innych. Tu dopiéro, jak mówię, otworzono przedemną owę księgę tajemną, z któréj mógłem czytać, co się ma i jak czynić. Rozumié się, słysząc coś podobnego od osób tak blizko mi znajomych, od osób, z któremi w kraju podobną pracą byłem związany, złożyłem im przyrzeczenie, że o ile moje doświadczenie pozwoli, nie pominę i ja sposobności dokładania cegiełek do stworzenia całości budynku, i w słodkiém upojeniu o pięknéj przyszłosci pożegnałem tych zacnych patryotów polskich, opuściwszy Kungur dnia tego samego.

W podróży z Kunguru do Ekaterynburga nie mogło nic przybyć do mojego Dzienniczka z politycznego pokarmu. W Ekaterynburgu partyja nasza nawet nie przenocowała, a w czasie przemiany podwód na dziedzińcu więziennym pojawili się tylko missyjonarze wymiany fałszywych papiérków. Za pięć rubli dobrych ofiarowano 50 fałszywych. Mówiono mi, że fabryka ta wyrabia bardzo wydatnie ten materyjał i że go massami w kurs puszczano.

Po drodze do Permy nie spotkałem nikogo takiego, z którymby można było pogawędzić szczérze i otwarcie, dla tego cała myśl moja oddaną była temu, aby co najprędzéj dostać się pomiędzy tych, którzy tak myśleli jak i ja.

W Permie tylko co przed mojém przybyciem była wielka awantura pomiędzy politycznymi a miejscową władzą; użyto w niéj nietylko bagnetów, ale nawet kul przeciwko naszym. Trafiłem tedy jak i cała nasza partyja na niefortunne usposobienie carskich zbirów dla Polaków; skutkiem tego traktowano nas, mało jest powiedziéć, po mongolsku, ale po zwiérzęcemu. Przy wpuszczeniu do więzienia przetrząsano tłomoki, rewidowano każdego po szczególe przy obelgach słownych, a po odbyciu tych prześladowań, zamknięto całą partyją do jednéj kamery, wzbroniono wychodzić z potrzebą naturalną, a w miejsce tego wstawiono wewnątrz naczynia na ten cel, brudne i fatalnie śmierdzące. W takich warunkach zostając, zmuszeni byliśmy pomimo potrzeby wypoczynku, domagać się jak najprędzéj wyprawki, do czego tak zwane miejscowe naczalstwo chętnie się nakłoniło i drugiego dnia zaraz zarządziło wyprawkę.

Na stepach pomiędzy Permą a Tiumeniem spotykałem naszych tylko po szpitalach; wszystko to, widocznie unikając tak nieludzkiego obchodzenia się carskich służalców z nami, jak również niewygód, robactwa i smrodów etapowych, śpieszyło daléj i daléj, aby dotrzéć do Tobolska, o którym już w drodze głośno mówiono, że tam pod rządem gubernatora Zenowicza*) każdy znajdzie sprawiedliwość i jakie takie zabezpieczenie więcéj znośnego pożywienia i opieki.

*) Jenerał Zenowicz, Polak, mąż wielce zacny i szlachetny, umiał wymagania służby godzić z uczuciami ludzkości. Przyp. Wyd.

Tiumeń, 22go Listopada 1865.

Przybyliśmy tu w liczbie 42 rozmaicie osądzonych: byli katorżnicy, rudnikowi (t. j. skazani do kopalni), i forteczni, którzy mieli przebywać tak w gubernii Tobolskiéj, jak i Tomskiéj i Krasnojarskiéj. Dwa miejsca były przeznaczone na pomieszczenie politycznych: etap, vis-à-vis zamek więzienny. Katorżnym ofiarowano ten ostatni z zamknięciem, a posieleńcom etap swobodny. Starostą wszystkich politycznych, znajdujących się naówczas w Tiumeniu, był niejaki p. Roszkowski, b. oficer wojsk moskiewskich, za udział w powstaniu zesłany, żonaty i z żoną tu miészkający. Człowiek zręczny, światły, a głównie obeznany dobrze z wartością i tendencyą moskiewskich czynowałów, do tyla potrafił nad nimi zapanować, że po przybyciu każdéj partyi politycznych do Tiumenia nie miejscowi urzędnicy, ale on sam wyłącznie rozporządzał rozlokowaniem takowéj, i czasem przebywania tutaj każdego polityka. — Otóż zjawił się zaraz do nas i objaśnił: że jakkolwiek według urzędowych instrukcyi osądzeni do katorgi winni być zamknięci w więzieniu, kto jednak z kolegów zechce się zgodzić na ustępstwo *karmowych**), jakie tu płacą (po 7 kopiejek dziennie) na rzecz zarządzcy więzienia, będzie mógł pozostać wolnym nietylko na etapie, ale nawet przejść na wolną najętą przez siebie kwaterę. Z bardzo małym wyjątkiem zgodziliśmy się na tę propozycyą i ja z kilkoma Warszawiakami, jak: Władysławem i Aleksandrem braćmi Kotkowskimi, Józefem Kozikowskim i malarzem Szermentowskim, udaliśmy się wolni na miasto dla wynajęcia kwatery. Przemiészkawszy tu tylko dni parę, a widząc, że z żywiołów, które mnie najwięcéj obchodziły, nic tu nie spotykam, namówiłem moich towarzyszy, abyśmy bez względu na wszelki spokój, jaki nas tu otaczał, ruszali daléj. Zgoda wspólna nastąpiła i w otoczeniu osób wymienionych opuściłem Tiumeń.

---

*) Karmowe, jest to żołd płacony więźniom na utrzymanie.
Przyp. Wyd.

Tobolsk, 3go Grudnia 1865.

Kiedy ujrzałem wzgórza téj niegdyś Jermakowéj zdobyczy, na których zbudowane są gmachy dla pomieszczenia przestępców różnego gatunku, rad byłem lotem ptaka dostać się między nie, bom był pewny, że tu ostatecznie zaspokoję moję gorączkową ciekawość, — ciekawość, która przyznam się szczérze, ani myśléć, ani spać mi nie dawała. Otóż kiedy nas powieziono pod owę schódkową górę, bez względu na utrudzenie wyskoczyłem z podwody i pośpieszałem pieszo, aby jaknajprędzéj dostać się na szczyt góry. Zwykłym porządkiem ustawiono nas pomimo dobrego mrozu przed kratową bramą więzienia, przeliczono i wprowadzono do wnętrza owego przytułku. Na spotkanie nasze wyszło kilkunastu polityków tu przebywających. W liczbie ich nie znalazłem znajomych, oprócz bratanka mego, Władysława, osądzonego na posielenie do bliższych gubernii Syberyi, a przez władze Tobolskie naznaczonego do miasta Iszymu (powiatówka).

Z kolei nastąpiło lokowanie się każdego w kamerach więziennych. Mnie i mojim towarzyszom dopomógł do tego synowiec, wybrawszy miejsca, ile można było wygodniejsze. Po ulokowaniu się, po przyjęciu posiłku i po wypoczynku, rano dnia następnego, to jest 4go Grudnia, rozpoczęliśmy od wysłuchania mszy św., odprawionéj przez katolickiego kapłana Żmujdzina. Dzień ten jest w życiu mojém uroczystością, bo to dzień Patronki mojéj ukochanéj żony. Po spędzeniu go przy wesołości, na jaką zdobyć się może człowiek zostający w podobnych mnie warunkach, człowiek, który świéżutko siłą drapieżnéj przemocy, pozbawiony na raz pracy całego życia, oderwany od kraju, żony, dzieci i rodziny, z niewypowiedzianą ciekawością rzuciłem się do poszukiwania tego co obecnie zajmowało całą myśl moję. Owe odsyłania do Tobolska cieszyły mnie, że tu znajdę wszystko, i dla tego też według mnie, tu powinienem był dojść kłębka moich dążności. Zaczepiłem najprzód synowca. Chłopak młody, gorący, i wiedziałem, że na podobne rzeczy nie obojętny, to też więcéj może, jak sądziłem, znalazłem w nim odpowied-

niego gruntu. Wziąwszy go tedy na bok, zażądałem sumiennéj co do tego spowiedzi.

Cóż mi tedy opowiada:

— Plany są dwa: jeden ucieczki, drugi zbrojnego powstania. Piérwszemu mniéj sprzyjają, silnie go tylko popiéra Paweł Landowski, lecz oprócz Szlenkera, Zarembskiego, Koprawskiego i kilku jeszcze innych, reszta przeważnie przechyla się ku drugiemu, a nawet, jak to opowiadano, niejaki Gustaw Szaramowicz, który z początku gorliwie był za ucieczką, przerzucił się wraz ze swojém kółkiem do obozu powstania. Ucieczka ma się rozpoczynać od tomskiéj gubernii w małych ilościach, czy to do Buchary, czy też drogą, którą kiedyś uciekał Rufin Piotrowski. W tym względzie ominięto wszelką solidarność; każdy na swoję rękę. Co się zaś tyczy zbrojnego powstania, ku temu ma być urządzona na sposób, jak była w kraju, orgnizacya powstańcza, z Polaków rozesłanych na posilenie. Jako ogniska działań wyznaczone: gubernia krasnojarska i irkucka. Środków materyjalnych ma dostarczyć opodatkowanie zamożnych, tak w katorgach, jak i na posileniu, i zażądanie pomocy z kraju. O ile wiém, organizacya ta w krasnojarskiéj gubernii już rozpoczęta. Na ostatniém zebraniu, jakie tu było, mówiono mi, że naznaczeni *ad hoc* zostający w Krasnojarsku: S., budowniczy, Polak, księgarz, Mazurkiewicz, piwowar i Ratyński b. oficer z powstania przy Landowskim.

Kotkowski Władysław i Kozikowski Józef, byli również nieco wtajemniczeni w owe projekta; po wysłuchaniu więc opowiadań synowca, rozesłałem ich z missyą badania po całém więzieniu.

W szpitalu znaleźli oni tylko maroderów, którzy dla rozmaitych swoich widoków przedłużali swoję bytność w Tobolsku, jak się zdaje, nie wiedząc nic a nic o żadnych konspiracyach, a w ogóle w całém więzieniu nie natrafili także na nic podobnego.

Rozczarowałem się dosyć. — Zdążałem jak do źródła, przy którém miałem ugasić moje pragnienia, a tu znalazłem posuchę, z któréj i kropli pokarmu ożywczego wyczerpać się nie dało.

Wiadomości udzielone mi przez synowca nie były mi obce jeszcze w Petersburgu, Moskwie i Kungurze, ale mnie chodziło o to, aby mi ktoś zdrowo wyjaśnił podstawy i dane, na jakich to wszystko się osnuwa, i czy mniéj więcéj będę je mógł uważać, co do siebie przynajmniéj, za możebne do spełnienia lub nie. Trudno! Należało zadowolnić się tém, co było, a czémprędzéj pośpieszać ku głównemu ognisku; to téż pomimo łatwości, z jaką można było wyrobić sobie dłuższe pozostanie w Tobolsku, dnia ósmego Grudnia już wyjechałem ku Tomskowi.

Kotkowski Władzio i Kozikowski, jako oskarżeni do katorgi, jadą ze mną, reszta zostaje w Tobolsku.

Po całéj drodze aż do Tomska, gdzieśmy tylko przybyli, wszędzie cicho, spokojnie, — politycznéj strawy ani za grosz; wszędzie tylko skargi na prześladowania, które zagrzewały krew' do jaknajwiększéj zemsty.

Tomsk, 21go Grudnia 1865.

Trudno byłoby spotkać w świecie coś obrzydliwszego nad więzienie tomskie, w którém nas pomieszczono; brud, ciasnota i zabójcze powietrze, ciemno, chłód, ba, nawet dobre zimno, i miłe towarzystwo z rozbójników, złodzieji, oraz wszelkiego rodzaju zbrodniarzy, były nam dane do używania. Boże zmiłuj się! Tu mimo hartu duszy, pomimo silnego postanowienia w wytrwaniu, niejedna łza niewinna uronioną została. Kamery pozamykano, tak zwane *baraszki* dla potrzeb naturalnych w ścieśnioném towarzystwie, zastępowały wychodki. Oko, ucho i nos naraz bywają obrażone. O przeklęty despoto! nic ci się więcéj od nas nie należy, jak walka na życie i śmierć. Nic nie pozostawało do życzenia, nad wyjazd najprędszy. Składka kilku rubli dla p. nadzórcy więzienia pomogła nam do tego, i 25go Grudnia ruszyliśmy w dalszą drogę ku Krasnojarskowi.

Pomiędzy Tomskiem a Krasnojarskiem, aż do samego Aczyńska, nie spotkałem nikogo, coby mógł mnie pokarmić choć najmniéj moją strawą. Po przybyciu dopiéro do Aczyńska i ulokowaniu się na etapie znalazłem tu p. Wojciechowskiego, b. au-

ytora pod Langiewiczem, odpoczywającego tu już podobno od ilku miesięcy. Ten z ostrożnością tchórza wziąwszy na bok, zazął opowiadać o dochodzących go posłuchach, że nasi wygnańy i tu myślą o zbrojném powstaniu, a że według jego pojęć należałoby to do głupstw piérwszorzędnych, udałem więc, że o niczém podobném nie słyszałem, i starałem się rozmowę odwrócić na inne przedmioty. Skorzystałem jednak i od niego choć tyle, że podowiadywałem się o kilku dobrych moich znajomych, tak rozesłanych już po guberni tomskiéj i krasnojarskiéj na posilenie, jak również o niektórych, którzy przejeżdżali tędy do ciężkich robót. Po wielu trudnościach zdołałem się wydostać z etapu na miasto, dowiedziawszy się poprzednio, że w samém mieście miészkają nasi, tak cywilni jak duchowni. Jakoż odwiedziłem zesłaną p. Pruszakową i znajomego mi z kraju ks. Barabasza, sądząc, że może od nich dowiém się czegoś wybitniejszego, czegoś dokładniejszego. Napróżno! Pani Pruszakowa zajęta była czém inném . . . . a ksiądz, widocznie miłośnik spokoju, Bogu duszę winien, spodziewał się tylko i oczekiwał wywózki ztąd do Tunki, w gubernii irkuckiéj, miejsca przeznaczonego na miészkanie dla wszystkich kapłanów katolickich, rozlokowanych w tych dwóch guberniach, jak krasnojarska i irkucka.

Po przebyciu tutaj dni kilku, ruszyliśmy w liczbie z górą cztérdziestu do Krasnojarska. Po drodze takoż nic z mojéj strawy nie zdobyłem, pomimo że po wsiach, przez któreśmy przejeżdżali, zamiészkiwali nasi i spotykali się z nami. W Zaledziejewie dowiedziałem się, że tu miészkają państwo Dybowscy, mąż i żona, obywatelstwo z Zabranego Kraju.

Krasnojarsk, 2go Stycznia 1866.

Przybyłem tu wczoraj, czyli w sam Nowy Rok według nowego kalendarza. Polityków cały zamek więzienny; znajomych znalazłem dosyć, pomiędzy innymi panów Rudzkiego i Gintowta.

Młodzi massa, szczególniéj z Polski Kongresowéj przeważnie. Po bliższém rozpatrzeniu się na miejscu znalazłem

wielką różnicę pomiędzy tém co widziałem po drodze. Pomieszczenia dosyć wygodne, czyste, samorząd; wszystko w ręku naszego Starosty, wolność wychodzenia do miasta pod kiepskim konwojem za karteczką starosty;*) inne życie, inny ruch.

Rudzki i Gintowt wymogli na mnie, abym przyjął starostowanie w więzieniu, a że zgadzało się to i z wolą ogółu, więc tak się téż i stało. Obadwaj ci panowie wiedzieli doskonale, czego ja szukam; otóż nie odwlékając, objaśnili mnie, ile mogli, tak o tém, co się w około nich dzieje, jak również o tém, co ma być daléj. Korzystając z prerogatyw służących tu starostom, bywałem pod pozorem rozmaitych interesów ogółu codziennie w mieście. Rudzki i Gintowt dopomogli mi do zejścia się ze wszystkiemi czynnikami. Główne zebrania miewały miejsce u zacnéj naszéj patryotki, skazanéj na miészkanie w téj guberni, pani Ż. — U niéj poznałem pana S., który był przedstawicielem u władz wszystkich Polaków politycznych, miészkających na wolnych kwaterach w Krasnojarsku; daléj Polaków Mazurkiewicza i Ratyńskiego. Tu dowiedziałem się, że organizacyja, mająca przygotować zbrojne powstanie jest już w czyn wprowadzona. Na jedném z posiedzeń przypuszczony zostałem do tajemnic, i skutkiem wspólnych uwag i rozbiorów, poprawialiśmy, jak można, ustawę. Pan S. był jednym z okręgowych. Zaproponowałem niezwłoczne zebranie i prowincyonalnych działaczy, a chociaż p. S. uważał to dla wielu wynajdywanych przyczyn w tym czasie niebezpieczném, a tém samém niemożebném, nie chcąc jednak wyjechać z Krasnojarska bez należytego zgruntowania postępu, za pomocą pani Ż. zdołałem wyjednać zebranie wszystkich o których mi chodziło. Upłynęło dni kilka, za nim ten z téj, a ów z tamtéj strony, zebrali się do miasta; zebrali się jednak, i każdy zdawał sprawę ze swego mandatu. Podwładni pana S. mieli sobie czynione wyrzuty: że z czynnościami swojemi pozostali w tyle za pracami np.: uczątsków 3., 5., 7, lecz ci nie

---

*) Starostą jest starszy między więźniami, przez nich wybierany, pośredniczący między nimi a władzą wykonawczą rządową.

Przyp. Wyd.

chcąc narażać czynności na dalsze stagnacyje, wyznali przy panu S., że im nie dostarczył ani na jotę tego czego im miał dostarczyć. Chodziło np. o dokładne informacye, o osnowę przysięgi związkowych, o to, czy można lub nie przypuszczać do związku Polaków niepolitycznych; że nie nadesłał im dotąd ani kopiejki funduszów gotowych według brzmienia ustawy na kupno, gdzie się da, broni i amunicyi, co naturalnie inni okręgowi już dawno poczynili. Takie zarzuty oburzyły wszystkich, i kiedy pan S. przyznał się, iż rzeczywiście nic nie robił, i wyznał, że na przyszłość nic robić na téj drodze nie będzie, bo nie wierzy w udanie się téj sprawy, a względy mieć powinien na żonę i dzieci: spojrzeliśmy tylko po sobie i ktoś tam z obecnych się odezwał, że podobny postępek równa się zdradzie. Pan S. opuścił zaraz posiedzenie, a reszcie działaczy także jakieś zwątpienie w duszach się zasiało, że nawet zaczęto odkrywać fałszywość i niebezpieczność osoby pana S. Jeden mówił, że on miéwa zanadto blizkie stosunki z władzami; drugi, że co więcéj, ma jakiś dowód, że pan S. pobiéra pewne subsidia od władzy, a trzeci, że wié doskonale, iż pan S. szpieguje ruchy i czynności Polaków w Krasnojarsku zamieszkałych i donosi policyi.

Takie i tym podobne odzywały się głosy, a ja koniec końców wyniosłem ztamtąd przekonanie, że z tego wszystkiego w obrębie krasnojarskiéj guberni nic nie będzie. Bo bardzo naturalnie, gdzie jedna z wybitniejszych osobistości rzuci takie niekorzystne światło, to potrzebaby, chcąc działać śmiało postarać się przedewszystkiém o jéj usunięcie. To nie było tak łatwe, a przynajmniéj groziło odkryciem spisku, tém więcéj, że wszystko to z naszych, co było zamożniejsze czy kieszenią czy umysłem, niczego więcéj nie pragnęło, jak spokoju, choćby Bóg wié za jakąbądź cenę.

Po takiém rozczarowaniu postanowiłem opuścić Krasnojarsk jaknajprędzéj, i pośpieszać do Irkucka, aby się i prędzéj dowiedziéć, co téż tam się gotuje.

W trakcie tego i stronnictwo ucieczki rozpoczęło swoje działania. Pewnego dnia przed wieczorem dają mi znać do więzienia, że w Krasnojarsku jest Józef Szlenker. W kilka

minut po téj wiadomości otrzymuję wezwanie z miasta, abym przybywał jak można najśpieszniéj do miejsca mi wiadomego. Spełniam tedy wezwanie i dowiaduję się od Polaka, że Szlenker z Kańska tu przybył, zamienił się z jakimś Korzoniem na nazwisko, a tém samém i na charakter przestępcy i pod tym nowym parawanem przedsięwziął ucieczkę z Syberyi, nocuje pod sekretem u Mazurkiewicza w browarze, ale o ile on zauważał, policya przedsięwzięła jakieś podejrzane ruchy, ajenci byli już pod pozorem zamówek w jego miészkaniu, niemniéj u Ratyńskiego i u pani Żebrowskiéj.

W takich warunkach niepodobna było odważać się na odwiedziny Szlenkera; postanowiliśmy tylko utrzymywać ukrytą straż, aby nie popadł w ręce mochów. Całą noc styczniową na mrozie czuwali: Polak, Ratyński, Gintowt i Rudzki; ja z tytułu starostwa musiałem powrócić do więzienia.

Nazajutrz otrzymałem wiadomość, że szczęśliwie wyjechał, ale cóż z tego, kiedy w godzin kilka po jego wyjeździe wysłano już ze strony policyi pogoń za nim. Ujęto go w miészkaniu wspomnianych przezemnie państwa Dybowskich w Zaledziejewie. Polak utrzymywał na pewne, że to sztuka pana S., a cała wina ciąży na Szlenkerze, że przybywszy do Krasnojarska, prezentował się po kilku ulicach miasta. Nie długo czekając, mamy już nietylko Szlenkera, ale i państwo Dybowskich w więzieniu. Rozpoczęło się śledztwo; w kilka dni są aresztowani i w więzieniu zamknięci: Polak, Ratyński i Mazurkiewicz. Ci trzej zamknięci w jednéj kamerze, Szlenker w osobnéj na jedynaka, a pp. Dybowscy między nami, to jest na pół wolni.

Tu znalazłem się w położeniu trudném do opisania; raz, że pragnąłem jak najprędzéj dotrzéć do Irkucka, aby zastać jeszcze kogoś mogącego mi wyświetlić tamtejszy postęp; to znowu z drugiéj strony przymuszony byłem wstrzymać wyjazd, aby korzystając z powagi i atrybucyi starosty, ułatwiać wszystkim, o ile się tylko da, znoszenia się wzajemne, czy to między sobą, czy, o ileby się tego potrzeba okazała z osobami zamieszkałemi w mieście. I pozostałem.

Na opisywanie tego, co było wynikiem owych aresztowań, nie tu miejsce, powiem tylko, że w ułatwianiu zachcianek aresztowanych, złapano mnie na gorącym uczynku.

Pewnego dnia, nocną porą, niby to jako starosta odpowiedzialny za spokój i porządek pomiędzy politykami, wyszedłem w podwórze więzienia w celu zakomunikowania aresztowanym wszystkich wiadomości o postępie téj sprawy, zebranych w mieście i podoręczania im pewnych notysek we względzie, jak mają się tłómaczyć, aby w każdym razie w tłómaczeniach była zgodność. Widocznie, czegom ja nie spostrzegał, miano mnie już na oku, bo w chwili, kiedy podsunąłem się pod okno kamery, w któréj byli zamknięci Polak, Ratyński i Mazurkiewicz, i dałem im znak umówiony do otworzenia lufcika, chwyta mnie za rękę w ciemności ukryty p. nadzórca więzienia, i oświadcza bez ogródki, że o tém doniesie policmajstrowi, a tymczasem mnie zamknie pod osobny areszt. Zjédz djabła, co tu począć? Mam przy sobie kompromitujące notyski; — nie tracę jednak odwagi i w téj chwili zaczynam targ z panem nadzorcą. Dwadzieścia pięć rubelków przeszło z mojéj do jego kieszeni. Pan nadzorca łagodzi swą srogość, ale kładzie mi *conditio sine qua non*, że wyjadę z Krasnojarska zaraz jutro, nie wydalając się na miasto. — Trudno; musiałem przyjąć taki warunek, i następnego dnia odprawiono mnie z partyją; pod względem zaś spełniania nadal missyi pośrednika, ustanowiłem zastępstwo w osobie młodego Warszawiaka Bartodziejskiego, któremu zdałem zarazem i starostowanie.

Otóż jedziemy do Irkucka. W Kańsku był jeszcze Paweł Landowski, który w razie pomyślności ucieczki Szlenkera miał drapnąć po téj saméj drodze. Złapanie Szlenkera stało się głośném; Pawła skutkiem tego pilnowano bacznie. Komunikacya wszelka z politykami, którzy tu byli naówczas, była niepodobną. Znalazło się naraz dwóch Szlenkerów: jeden był tu (Korzoń), a drugi prawdziwy w Krasnojarsku. Ruch okrutny pomiędzy zbirami, trwoga, a z nią ścieśnienia i prześladowania. Z gwałtownym pośpiechu wyprawiają naszę partyją, i już dnia następnego jesteśmy w drodze. Po etapach wszędzie mówią tylko o ucieczce

Polaków; każdy z panów naczelników etapowych każe nas zamykać i otaczać strażą, i pod takiemi to swobodami przybyliśmy do Niżno-Udyńska, miasteczka powiatowego już irkuckiéj guberni.

Jakoś i tutaj nie lepiéj. Więzienia brudne i ciasne, politycznego żadnego. Przebyliśmy dobę i odprawiono nas daléj. Po wszystkich etapach można było znajdować ślady przejeżdżających, masa nazwisk po ścianach i oknach, lecz między temi mało wyczytałem znajomych. Oprócz Władzia Kotkowskiego i Kozikowskiego, nie miałem około siebie nikogo z bliższych; — w ich tedy towarzystwie przybyłem do stolicy wschodniéj Syberyi.

Irkuck, 1go Marca 1866.

Jeszcze nie wysiadłem z podwody, już słyszałem pytających się o mnie. Wszystkie furmanki i z nami wprowadzone były w podwórze więzienia, a na spotkanie nasze wyległo dosyć polityków, każdy szukając znajomego. Pomiędzy innymi otoczyło mnie dwóch ludzi, których nigdy nie widziałem, a powołując się na różnych moich znajomych, i ich jakoby gawędki o mnie, oświadczyli mi, że oczekiwali na mnie nieco wcześniéj. Tymi panami byli: Michałowski z emigracyi 1846go r. i Arcimowicz, b. junkier wojsk moskiewskich-obadwaj za udział w naszém powstaniu zesłani do ciężkich robót. Zkąd p. Michałowskiemu znane być mogły moje przekonania polityczne? — nie wiém; spotkanie nasze, jak mówię, było piérwsze w życiu; — powtarzał on jednak takie fakta, że chcąc nie chcąc kazały mi wierzyć, żeśmy, nie znając się, pracowali na jednéj niwie.

Otóż, jak to mówią, zrośliśmy się z sobą. Pan Michałowski opowiadał mi wiele przebiegów, jakie nastąpiły w sprawie dojrzewającego (jak się wyrażał) zbrojnego powstastania w Syberyi, a kiedym go objaśnił, jak się te rzeczy mają w guberni krasnojarskiéj, odpowiedział mi stanowczo: że tutejsza organizacya nie wiele liczyła na poparcie z téj strony i sama o własnych siłach nagromadziła już tyle środków, że te bez oglądania się na sąsiadów, wystarczą do zapewnienia pomyślności rozpocząć się mających kroków. Na-

turalnie były to ogólniki, które mnie zaspokoić nie mogły, jako mającego już nieco doświadczenia w tém rzemiośle; — potrzebowałem czegoś więcéj, chciałem usłyszéć, kto to mianowicie stéruje temi żaglami, od czego zaczęto, do jakiego punktu rzecz doprowadzono, i na czém w ogóle opiéra się ta niby pewność dobrych i pomyślnych rezultatów. Objawiłem więc zaraz tym panom podobne uwagi, i ci zapewnili mnie, że wkrótce będą mi mogli dać pod tym względem za spakajające objaśnienia. Swoją drogą Kotkowski i Kozikowski, jako moji *alter ego,* zobowiązani byli przezemnie, aby ile można najostrożniéj, niezależnie od własnych moich studiów, badali te rzeczy pomiędzy wszystkimi wygnańcami, jacy byli naówczas w irkuckiém więzieniu. W takiém zajęciu upłynęło nam czasu tygodni parę. Politycznych Polaków była jeszcze w owych chwilach liczba znaczna w Irkucku; oprócz tych, co mieścili się w zamku więziennym, zapełnione jeszcze nimi były w mieście tak zwane: *kazionnaja Pałata* i *stary szpital.* Ruch i komunikacyja jednych z drugimi ciągła, wiadomości co dzień obfitsze; doszedłem do przekonania, że czynników nie brak; szczególniéj Mazury tchną nieudanym zapałem do awantur na téj drodze.

Pewnego tedy dnia panowie Michałowski i Arcimowicz uwiadamiają mnie, że dziś będą mogli obszerniéj ze mną pomówić w wiadomych okolicznościach, że będą mogli dać mi objaśnienia, które powinny według nich wystarczyć na przekonanie o rzeczywistéj, sumiennéj i doświadczonéj pracy. Przyjąłem to z radością, oświadczywszy, że gotów jestem ich wysłuchać, i zastrzegłem zarazem obecność przy tém moich współpracowników: Kotkowskiego i Kozikowskiego.

W ich więc towarzystwie panowie M. i A. opowiedzieli mi cały tok konspiracyjnych działań, które ja z dokładnością stenografa zanotowałem najprzód w pamięci, a teraz przelewam je na papiér. Rzecz się tak ma:

„Plan ucieczki w rozdrobnionych partyjach, a tém samém nie związanych solidarnością, porzucony jest i wykréślony z myśli raz na zawsze; aby zaś oswobodzić się z pod jarzma i uczynić to możebném, uorganizowano, tak w guberni irkuckiéj, jak i calém Zabajkalu, gdzie tylko znajdują się

dotychczas Polacy, zesłani do robót, spisek zbrojnego powstania. Rozwinięciem tego i wprowadzeniem w czyn kieruje komitet rewolucyjny, działający pod zwiérzchnictwem *Dyktatury,* ustanowionéj w osobie Gustawa Szaramowicza. Punktem działania jest wieś Listwiniczna, położona o wiorst 60 od Irkucka, nad samym Bajkałem, w miejscu gdzie wypływa z tego jeziora rzéka, zwana Angarą. Tam mieściła się i dopiéro przed tygodniem w części tylko do wsi Murym przeniesiona partyja politycznych Polaków, zwana partyją Szaramowicza. Taka organizacya ukończona już ostatecznie i czeka tylko wybicia swojéj godziny. Początek działania ma być taki: Na dane hasło Aleksandrowsk irkucki dostarczy dwustu ludzi, Listwiniczna posiada z górą tę liczbę. Te obiedwie partyje przybędą nocami do Irkucka, rozbroiwszy naturalnie swoje konwoje, połączą się z tymi, którzy są w Irkucku, i w takim zlaniu uderzą na batalion irkucki, rozbroją go, owładną zarazem garsteczką miejscowéj artyleryi, rozbroją po kolei kozaczyznę i żandarmów. W połączeniu cyfra Polaków dochodziłaby ośmiu set. O zrujnowaniu telegrafów, przewozów i przerwaniu wszelkich możebnych komunikacyi Irkucka z dalszym krajem w około, nie zapomniano.

„Po owładnięciu siłą zbrojną, nie tracąc czasu, ma być ściągnięta z miészkańców Irkucka, oprócz zaboru wszystkich kas rządowych, kilkomilionowa kontrybucyja. Następnie w tak połączonéj sile zwrot do Listwinicznéj dla przeprawy za Bajkał. — Przeprawa ta będzie musiała się odbyć na b a r ż a c h, bo poprzednio należy zniszczyć całą żeglugę parową. Punkt wylądowania w Posolsku; tam znajduje się na składzie dwa tysiące karabinów, przerobionych ze skałkowych na pistonowe, i sześćdziesiąt tysięcy gotowych ładunków; uzbroić zaraz niemi całą partyją, resztę na podwody dla rozdania braciom wyzwolonym po drodze. — Oprócz tego pomiędzy obowiązkami do spełnienia, była i rewizyja posolskiego klasztoru (monastyru), o którym chodziły uporczywe wieści, że ma miéć znakomite kapitały; — należało więc, jeżeli się okażą, i te spożytkować na rzecz powstania.

„W takich warunkach, mając po za sobą spokój, który zapewniało zniszczenie żeglugi parowéj na Bajkale, ma się postępować daléj i daléj. Wszystkie po drodze partyje politycznych wyswabadzać, zdobywać broń i amunicyą, gdzie się da, ściągać kontrybucyje i zabiérać kasy rządowe.

„Dostawszy się do ostatniego z Zawodów Nerczyńskich i po wcieleniu znajdujących się tam politycznych Polaków do ogółu powstania, w całéj massie powstańcy przejdą w granice Chin przez Mongolią i tam dopiéro zebraną zostanie rada wojenna, która przy pomocy kart jeograficznych, w jakie komitet jest już zaopatrzony, postanowi o przyszłości. Służba sanitarna będzie dostateczną; pomiędzy ogółem Polaków jest dosyć doktorów, aptekarzy i felczerów, apteczki obficie uprowidowane.“

Takie były plany wyswobodzenia się Polakow z guberni irkuckiéj i całego Zabajkala, lecz te z przyczyn niżéj opisanych, nie mogły wejść w wykonanie w Irkucku; dopiéro, i to tylko w cząsteczce, naśladowano je na drodze nowo budowanéj w około Bajkału.

Zanim objaśnię przyczyny, dla których rzeczywiście Irkuck został wolnym od napadu, muszę piérwéj wspomnieć o niektórych faktach, które mnie upewniały o prawdziwości tak samych planów, jak również i tego, że pomiędzy Listwiniczną i Aleksandrowskiém, samym Irkuckiem i następnie samym Zabajkalem są i trwają ciągłe stosunki i korespondencyja.

Po przywiezieniu przezemnie wiadomości o postępach organizacyi powstania w guberni krasnojarskiéj, ta niezwłocznie zakomunikowaną została komitetowi w Listwinicznéj, w skutek tego bowiem zdarzyło mi się czytać odpowiédź tego komitetu, podpisaną przez Gustawa Szaramowicza, która mniéj wiecéj była téj osnowy:

„*Komitet Wschodni do Organizacyi Irkuckiéj.* Z gubernią krasnojarską nie łączą nas żadne zobowiązania, i o tyle tylko możemy miéć kiedyś łączność, o ile *Komitet Zachodni* (Krasnojarski) da dowody prawdziwéj, a nie ułudnéj pracy na téj drodze. Żyje w nas dla nich, jako dla braci, sympatyja, i życzymy im tego samego dobra, co sobie.“

Widocznie, że komitet chciał objaśnić wszystkich swoich pracowników o postępach w robocie, bo pewnego dnia Michałowski z Arcimowiczem okazywali mi zawiadomienie z podpisem Gustawa Szaramowicza, że dla przygotowania kolegów, znajdujących się w Zabajkalskich Zawodach, wysłani zostali przez komitet jako emisaryusze: Grossmann i Trojanowski. Daléj w trakcie tego przybył do Irkucka z nową partyją politycznych Celiński, b. oficer wojsk moskiewskich na Kaukazie, jak się zdaje wiedzący dobrze o tém, co się święci, a w parę dni po jego przybyciu czytałem nadesłaną mu z Listwinicznéj nominacyją na dowódzcę 3go batalionu, mającego spełnić w Irkucku napad na część wojska rozlokowanego w koszarach wojskowych nad Angarą. Rozmawiałem z nim dosyć, i on był bardzo pewnym o możności spełnienia całego planu, utrzymując, że jest tu do czynienia z żołnierzem nie zasługującym nawet na to nazwisko. Ściślejsze stosunki widziałem że wiążą Celińskiego z niektórymi świéżo przybyłymi do Irkucka, jak n. p. Zarembskim i wielu Mazurami.

Tak tedy rzeczy stoją, że każdy punkt, w którym rozlokowani Polacy, ma swoich pracowników, i wszyscy czekają na mające się dać hasło.

Wtém ni ztąd ni z owąd zjawia się w zamku policmajster Irkucka, Dumański, wydobywa z za munduru notyskę, i wywołuje Michałowskiego, a za nim pięciu jeszcze innych, których Michałowski rzeczywiście używał do wszystkich swoich czynności, jak wysyłek w różne strony i t. p. Ciekawość zawładnęła wszystkimi, aż nareszcie wydał ten pan rozkaz okucia wszystkich wywołanych na ręce i na nogi, i w godzinę czasu, nie więcéj, wywieziono ich w takim stanie z Irkucka gdzieś za Bajkał do Nerczyńskich Zawodów. Przyczynę tego, według głosów, jakie chodziły, przypisywano p. Bąkowskiemu, starostującemu naówczas w *kazionnéj pałacie*, co późniéj rzeczywiście wypłęnęło na wiérzch, jak oliwa; lecz ja tutaj pomijam te brudy.....

Zwykle takie wypadki niekorzystnie oddziaływają na tych, którzy czują się miéć pewną łączność z niemi, to téż pomimo pozornego ducha, w gruncie rzeczy prawdziwy zapał dał się spostrzegać stygnącym. Wielu z działaczy przycichło,

a może być bardzo, i tak jest na pewno, że niejeden krok naprzód narażony był na stagnacyją. O takiém zdarzeniu niezwłocznie doniesiono komitetowi, lecz ten nieustający i dziarski czynnik nietylko że przyjął go z radością, ale nadto odpowiedział zaraz irkuckim swoim podkomendnym, że sama ręka Opatrzności pomogła nam w tym razie. Michałowski i jego towarzysze — pisze komitet — zawiezieni zostaną tam, gdzie stokroć staną się niebezpieczniejszymi dla Moskwy, niż tu byli; tam znajdą oni nową niwę do uprawy; komitet liczy na ich energią i szczérość działania.

W parę dni potém ogłosiła Moskwa, że postanowieniem rządu jest, aby politycznych wszystkich, jacy się dotąd znajdują z téj strony Bajkału, użyć do robót przy nowo wytykającéj się drodze w około Bajkału, i ci tylko z nich będą od téj roboty wyłączeni, których wymówi albo brak zdrowia, albo wiek podeszły.

Tu dopiéro uwydatnił się chłód, jaki po wywiezieniu Michałowskiego ogarnął spiskowców. Ci nawet, którym towarzyszyły i zdrowie i siła wieku, pragnęli uniknąć téj wywózki, uciekając się do wynajdywania różnych a różnych przyczyn, za pomocą których mogliby oszukać niedołężność władzy. Na ile silném było wytrwanie w postanowieniu, z każdym dniem wyjaśniało się to lepiéj. Ta sama wola rządu objawioną była również tak w Aleksandrowsku jak i w Listwinicznéj, i komitet tameczny niebawnie wystósował odezwę do Organizacyi, w któréj także w tym razie dopatrywał ręki Opatrzności i zachęcał do wytrwania. Powiedziano tam było: „że w miejsce cobyśmy musieli zaczynać od kroków repressyjnych, bo od rozbrajania miejscowych konwojów (straży) i usuwania przeszkód, jakieby nam na téj drodze stawały, to sama ślepa Moskwa sprowadzi nas prawie do jednego mianownika i tym sposobem zapewni nam bezwiednie pomyślność naszych planów. Nie potrzeba tu o tém dużo mówić, ile podobne słowa potrafią podziałać na przygotowany odpowiednio materyjał, bo każdy, kto tylko podejmował podobne prace, dobrze to sam zrozumié; to téż wiara na nowo się wzmocniła, i tylko oczekiwano, choć cierpliwie, ale z ogniem, mającego dać się hasła. Z Aleksandrowska nadeszła

wiadomość, że po ogłoszeniu tam robót na drodze około Bajkału, wszyscy jednozgodnie zdeklarowali się przyjąć w nich udział, rozumié się dla tego tylko, aby cicho i spokojnie przybyć do Irkucka i tu połączyć się według planu.

Te wszystkie przejścia mają miejsce w czasie od daty przybycia mego do Irkucka, czyli od 1go Marca do włącznie 7go Czerwca 1866. r., uważając daty podług nowego kalendarza.

Dnia 8go Czerwca, między godziną 10tą a 11tą przed południem zjawia sią przed nami niespodziewane widowisko. Najmniéj rota żołniérzy w całéj formie, z doboszami i muzyką, pod przewodnictwem oficerów wchodzi na podwórze *kazionnéj pałaty* (gdzie już i ja naówczas byłem z głównego więzienia przeprowadzony), za nimi kilku czynowałów cywilnych, a wkrótce po za nimi przybywa jenerał Szełaśników, gubernator cywilny Irkucka. — Zdziwienie nie lada, ruch między nami niezwyczajny, każdy pyta jeden drugiego o znaczenie téj wizyty, aż nareszcie wydano rozkaz, abyśmy wszyscy zeszli na podwórze. Tak się téż i stało. Potężna gromada wygnańców otacza, według rozkazów, pana gubernatora, a ten z całą uroczystością, zwykle odgrywaną przez Mochów przy czynnościach tego rodzaju, czyta nam ukaz Najjaśniejszego Petersburskiego Despoty, wydany pod 9tym Kwietnia *v. st.*

Ukaz ten, jak wiadoma, uwalniał na *posilenie* wszystkich cztéro- i sześcioletnich katorżników, sądzonym na wyższe lata darowywał połowę, a osądzonym na całe życie ograniczał termin robót do lat 10ciu. Oprócz tego odezwał się do nas p. gubernator, że upoważniony jest przez jenerał-gubernatora Korsakowa do udzielenia nam zapewnienia, że on (Korsakow) w miarę dobrego i spokojnego naszego prowadzenia się, nie omieszka czynić przychylnych i protekcyjnych za nami przedstawień do Petersburga. Przyjęliśmy te łaski z całą powagą milczenia, co niewymownie zdziwiło p. generała. Spodziewał on się jakichś serdecznych okazów i okrzyków na cześć Cara, bo kilkakrotnie powtarzał zapytania, czyśmy go dobrze zrozumieli? Odpowiadało mu to samo milczenie, a on zwiększał swoje nieukontentowanie. Wido-

cznie, że te bębny i muzyka były na to sprowadzone, aby przy spodziewanych naszych okrzykach „hurra“ zaintonowały hymn urzędowy: *Bożе Caria chrani!* Rozczarowany i wielce rozdraźniony pan gubernator bez pożegnania się opuścił nasze towarzystwo, a za nim i reszta zbirów z żołniérstwem.

Nie tak jednak było dobrze, jak się na pozór zdawało. Wielu z tych, którzy stali się posieleńcami, porzucili stanowczo przyjęcie choćby najmniejszego udziału w ułożonym napadzie. Z Aleksandrowska w miejsce spodziewanych dwustu przybyło zaledwie trzydziestu kilku, Celiński jednak ciągle i uporczywie nie przestawał dowodzić, że i z tą siłą, jaka nam została, zrobiemy swoje, rachując naturalnie na poparcie z Listwinicznéj. Tymczasem Moskwa uprzedza to, jakby świadoma rzeczy.

W partyji Szaramowicza ogłoszenie ukazu również robi okrutne szpary; wielu wychodzi na posielenie, wielu sekretnemi drogami, nie zwierzając się brat bratu, wyrabia sobie przeniesienie w inne miejsca, jak np. do Ussola*), gdzie znajdowało się kilkuset polityków, gotowych okupić spokój ostatnim rublem, a w ogóle pozostała reszta zwątpiła o wszystkiém i zapadła w stan odrętwienia. Tę to pozostałą resztę i z Szaramowiczem Moskwa przenosi z Listwinicznéj do wsi Murymu. Z Irkucka zaczyna wysyłać wszystkich, partyjami, z małemi wyjątkami zasłużonych, to jest: starostów i tych, którzy zgodzili się na odprawienie w imieniu zesłanych Polaków na cześć Cara solennego nabożeństwa ex re powołanego ukazu, i lokuje ich tymczasowo w Listwinicznéj, w miejscach opuszczonych przez partyją Szaramowicza. Wszyscy zwątpiali, ostygli, poddali się ślepym losom; każdy przyjmuje naznaczenie miejsca, absolutnie przez Moskwę wybranego, i kiedy zawołają, że siadać na furmanki, już siedzi i jedzie. Ja w towarzystwie cztérdziestu kilku kolegów wyjechałem z Irkucka dnia 9go Czerwca nowego stylu.

Tym sposobem skoncentrowano nas w Listwinicznéj 400 z górą, i kto wié, czyby po zawiązaniu na nowo komu-

*) Jest to punkt, w którym odbywa się warzenie soli, leżący przy trakcie z téj strony Irkucka, odległy od niego o wiorst 60.
Przyp. Red.

nikacyi choć już z poszarpanym, ale zawsze w części egzystującym jeszcze komitetem, nie przyszło było do wykonania planu owładnięcia żeglugą parową, następnie zaboru broni i ładunków, leżących jeszcze dotąd na składzie w Posolsku i wykonania co do reszty całego planu za Bajkałem. Ale cóż się dzieje? Piekielny cios zadaje Moskwa i temu, na pozór rzeczą małą, a jak się w skutkach okazało, okrutną.

Dotąd wszyscy, co tylko sądzeni byli do robót, jako pozbawieni praw stanu, pozostawali na równych prawach; tymczasem Moskwa czepia się katowskiéj myśli i tworzy przy wysyłkach z Listwinicznéj segregacyą: szlachtę gdzieindziéj, księży gdzieindziéj, nieszlachtę gdzieindziéj. Ta myśl przez prostaczków, a nawet powiém, gorzéj, że przeważnie przez półszlachciców (jak to mówią) przypisaną została bezwarunkowo szlachcie. Tu dopiéro zaczynają się sceny. W miejsce oburzeń na wroga, groźby i pioruny spadają na swoich. — Niech Bóg zabrania podobnych zwrotów. Roznamiętnienia wzrastają, porozumienie niepodobne, i w takiém to usposobieniu zaczynają nas wsadzać na statki do przewozu za Bajkał dla budowania nowéj drogi. Partyja Szaramowicza zostaje na miejscu, jak już wyżéj wymieniłem, w Murymie; partyje nieszlachty lokują: jednę o wiorst dwanaście, drugą o wiorst trzydzieści od Murymu, szlachecką zaś w miejscu zwanym Myszycha, o wiorst 15 od drugiéj partyji nieszlachty. Zaczęły się i roboty około drogi, któremi zarządzał główny inżynier, Szatz, przez indywidua przezeń do tego naznaczone.

Z początku cicho i spokojnie; zdawało się, że każdy, porzuciwszy myśl o powstaniu, gotów jest do przyjęcia tego co mu losy zgotują; ale kiedy ułatwiła się możność komunikacyi wszystkich partyji między sobą, powrócono na nowo do piérwotnych zamiarów, i postanowiono bądź co bądź wyswobodzić się z rąk Moskwy.

Nie tak łatwo przyszłoby może do zjednania sobie ku temu celowi powtórnie partyji, które Moskwa uznała za nieszlachetne, gdyby nie to, że Moskwa, rozlokowawszy partyje w półkolu Bajkału, dała im na miészkanie tylko czysty las, wilgotny, błotny i zimny. Ziemia pod tym lasem, przykryta

z wiérzchu warstwą mchów nie grubszą jak łokieć, pozostaje sobie zlodowaciałą od czasu, jak piérwszy raz przy stworzeniu zamarzła, a drzewa pną się tylko na mchach, wiążąc się korzeniami. Schronienia, tak od deszczu jak chłodu, musieliśmy sami sobie wytwarzać w guście tak zwanych namiotów z kory i drzewa, a co do utrzymania, karmiono nas najobrzydliwszemi pokarmami. Mąka na chléb czerwonego koloru ze zrośniętego jarego żyta, mięso Bóg wié z jakich tam żyjątek, solone, herbata cegiełkowa, kirpiczem zwana, kasza na wpół z plewami i do tego sól: to stanowiło całe utrzymanie Polaków znajdujących się na drodze, a jakkolwiek, jak wyżéj wspomniałem, urządzono podział na szlachtę i nieszlachtę, różnicy jednak w produktach nie było żadnéj. Umiano tedy odnieść korzyści na rzecz propagandy z takiego położenia.

Arcimowicz, chociaż był z inną partyją wywieziony, dostał się jednak do Szaramowicza, i tam zasięgnąwszy świéżych rad, na nowo zaczął propagandę.

W partyji murymskiéj, a głównie w samym Szaramowiczu i kilku bliżéj go otaczających, ożyła myśl stworzenia nowéj organizacyi celem przyspasabiania umysłów do wyswobodzenia się przez ucieczkę, choćby nawet poprzéć ją środkami odpornemi; zaczęto więc różnemi sposoby i drogami zdobywać broń myśliwską, wyrabiać u siebie lance i kosy.

Głównym naczelnikiem wszystkich partyji Polaków do robienia drogi w około Bajkału przeznaczonych i w lasach znajdujących się, był ze strony rządu pułkownik Czerniajew*) a osobno każda partyja miała swego tak zwanego komendanta i konwój wojskowy, nie przewyższający liczbą kilkunastu żołnierzy. Otóż ten fatalny ktoś, czy z samych Polaków, czy téż z miejscowych murymskich miészkańców, donosi panu Czerniajewowi, że Polacy gromadzą broń, kują w kuźniach przez siebie pourządzanych lance i kosy, i przygotowują się do jakichś ruchów; że partyje komunikują się

*) Późniéj jenerał wsławiony dowództwem w Serbii w r. 1876.
Przyp. Red.

między sobą, i że ruch między niemi nieustanny. Czerniajew, jakkolwiek człowiek bardzo zręczny, i nie tak źle dla nas usposobiony, musiał jednak w obec następstw, jakie mu groziły, coś w tym razie uczynić. Jakoż kilkunastu niby to podejrzanych odrywa z partyi murymskiéj i wysyła na stacyją Lichanówka, lecz po téj saméj drodze wiorst 12 za stacyją Myszycha, gdzie, jak powiedziałem wyżéj, rozlokowaną była partyja, nazwana przez Moskwę szlachecką.

W rezultacie pokazało się, że ci wszyscy wysłani należeli do stronnictwa, które za żadną cenę nie chciało się zgodzić na jaką bądź zmianę położenia, wytworzyć się mającą ruchami.

Szaramowiczowi chodziło głównie o nagięcie do jego planów i myśli partyji nieszlachty, rozlokowanych pomiędzy Murymem a Myszychą, bo co się tyczy partyji szlacheckiéj w Myszysze, sądził, że ci ludzie bezwarunkowo i bez żadnych osłabień trwają w swoich początkowych zamiarach, że zatém za ukazaniem się piérwszych ruchów, przyłączą się do nich.

Źle zrobił, że nie postarał się bliżéj o tém się przekonać. Co zrobi partyja szlachecka na wypadek ruchów? — dla najbliższego świadka ich życia pytanie to było dość trudném do rozwiązania. Zaszłe zmiany, obietnice Moskwy i pozorne schlebiania Moskwy okrutnie rozlutowały tę kiedyś solidarną spójnią i jedność. Starałem się o to, aby mniéj więcéj wiedzieć o usposobieniu moich sąsiadów i towarzyszy, starali się również Kotkowski i Kozikowski, ale pomimo to żaden z nas nie odważyłby się liczyć na jedność całéj partyji, która z górą wynosiła osób trzysta. Starostą naszym był Jakób Rejner, przybyły z partyji aleksandrowskiéj, rodem z Polski Kongresowéj, z miasta Lublina, syn doktora. Znajomość nasza datowała się jeszcze z kraju; poznałem go jako powstańca w oddziale Lipińskiego, nie miałem więc żadnéj obawy mówienia z nim szczérze i otwarcie, to téż o tém wszystkiém, co mnie dochodziło z Murymu, objaśniałem go sumniennie. Rejner trwał w początkowych zamiarach i planach, gdyż jak wspomniałem wyżéj, partyja aleksandrowska wiedziała o wszystkiém; ale że doznał zawodu na najżarliw-

szych, dzisiaj niechętnie chciał wierzyć, że jest możebną jakabądź podobna czynność, którąby sprowadziła pomyślność w wykonaniu, ale jako człowiek raz poświęcony na téj drodze, gotów był zawsze bądź co bądź przyjąć udział we wszystkich podobnych robotach, i tylko głównie chodziło o to, aby choć jako tako można przygotować ku temu partyją tak zwaną szlachecką.

Wybitniejszą osobistością w téj partyji, nie tak pod względem inteligencyi, jak zamożności materyalnéj, był niejaki pan Antoni baron Rück von Plettenberg z Inflant, Niemiec-katolik, były oficer moskiewski, ostatnio na Kaukazie służący, a za udział w naszém powstaniu, jako polityczny przestępca zasłany do ciężkich robót w Syberyi. Pan ten, jak zwykle na świecie się dzieje, miał dużo przyjaciół i i wielbicieli, bo miał środki do łagodzenia téj nędzy, która ubogich materyalnie otaczała; jednèm słowem, miał środki do jéj zobojętnienia.

Za pośrednictwem samego pułkownika Czerniajewa sprowadzał on z Irkucka masło, słoninę, mąkę pszenną, herbatę kwiatową, cukier, nalewki i inne smaczne rzeczy, a za pośrednictwem konwojowych żołniérzy zakupywał w różnych stronach bydło. Mógł zatém żyć wygodnie i kogoś jeszcze pokarmić, to téż, jak mówię, miał wielu takich, którzy mu assystowali, dzieląc razem z nim tę ciężką niedolę. Pana Rücka miéć było po swojéj stronie, to i dosyć. P. Rück należał charakterem i pojęciami do tych, na których najkorzystniéj działa pochlebstwo; otóż postaraliśmy się w kilku, nie opuszczając i tego środka, wciągnąć go do swego kółka. — Celiński, jako jego kolega wojskowy z Kaukazu, zaczął z początku mniéj znacznie, a potém coraz otwarciéj wmawiał w niego, aby jako człowiek wpływowy między nami pomyślał o skorzystaniu z położenia, tém więcéj, że widzi, co za nędzę ludzie ciérpią, i jakby się prędko przyjął dzisiaj posiéw na tym gruncie; a gdy przyszło do tego, że Celiński wspomniał o jego protoplastach Plettenbergach, którzy posłowali z Inflant do naszéj Rzeczypospolitéj, i jakby to było pięknie, gdyby dzisiaj ich potomek stał się wyswobodzicielem ciemiężonych Polaków w Syberyi, p. baron rzucił mu się na piersi,

a okrywając głośnymi pocałunkami, wyrzekł: „Z tobą, kochany majorze, wszędzie i zawsze; prowadź mnie, gdzie chcesz, bądź pewny, że się przed niczém nie cofnę!“ Wkrótce widzieliśmy wielu nawróconych.

Pan baron, żądny rozgłosu, stał się najzapaleńszym stronnikiem ruchu; obok karmienia i pojenia wszystkich, którzy się do niego zbliżali, pootwierał jeszcze liczne swe tłomoki z garderobą i bielizną, rozdając je hojnie między potrzebnych. Wszyscy prawie, z małym bardzo wyjątkiem, gotowi byli do kroku stanowczego. Naturalnie, o takiém przygotowaniu panów szlachty wiedziano natychmiast w Murymie; — Celiński trzymał tylko w tajemnicy do ostatniéj chwili kwestyją naczelnego dowództwa, a pan baron piastował ją w duszy swojéj dla siebie, bo ona tylko, a nie co innego, mogła go popchnąć na tę drogę. Celiński wiedział dobrze, że Szaramowiczowi się to należało.

Kiedy tak rzeczy stały u nas, Szaramowicz dnia 9go Lipca 1866go rano zdobywa się na krok stanowczy. Rozbraja miejscowy konwój, zabiera broń, jaka tylko była, i wyrusza z Murymu, wzywając do wymarszu. Jednocześnie zabrano we wsi około trzydzieści koni z rynsztunkiem, które posłużyły do stworzenia kawaleryi. I cóż się tedy okazuje? Jego partyja zaledwie w mniejszéj połowie słucha jego rozkazów! Próbował z początku środków przymusowych, ale i te nie poskutkowały; jedni stanowczo i otwarcie odmawiają swego udziału, mniéj odważni odgrywają rolę dwuznaczną, a tchórze ratują się na piérwszy alarm po prostu ucieczką do lasu. Rozpaczliwe położenie człowieka. Już za to, co dotąd spełniono, ciąży na nim przed Moskwą odpowiedzialność nie lada, nic mu więc nie pozostaje, jak spożytkowanie tego co było do spożytkowania.

Z garstką więc swoich zuchów opuszcza Murym. Doszedszy do najpiérwszéj partyji, tam jakoś znalazł mniéj więcéj nie najgorsze usposobienie dla swojich planów, którą zagrzawszy jeszcze przemową: że oto jesteśmy już wolni i należy nam bronić tylko téj wolności, zabrał ją ze sobą, postępując daléj.

W drugiéj partyi z kolei nie znalazł on wprawdzie

samę drogę lasem i napaść na szpicę dla zrobienia dywersyi; i co godna podziwu, plan ten przyprowadzają do skutku. Usadowieni za wałami drzew, w czasie kiedy Parochów z feldfeblami nadchodzą, wyskakują na drogę i jak lwy napadają na nich. Całe uzbrojenie tych śmiałków stanowiła jedna kosa trawna w ręku chłopka Chlebnego z Kongresówki, i dwie pałki brzozowe, posiadaczami których byli: Bokowski, syn obywatelski z Lubelskiego, i Myszka, chłopek z pod Iłży. Bokowski napada wprost z pałką na Parochowa; ten zapomniawszy widocznie ze strachu o rewolwerze, zasłania się przed pałką pałaszem; Bokowski chwyta lewą ręką za pałasz, a prawą, rzuciwszy pałkę, za szyję, i w takiéj figurze zaczynają się szamotać; w tém Chlebny dopada z kosą i rzecz rostrzyga: Parochow całém ciałem już na ziemi. Po ścięciu Parochowa napada jeden z feldfebli na Chlebnego z bagnetem, ten jednak wsparty przez Myszkę, i tego posyła do Abrahama, a w mgnieniu oka wszyscy trzej przeskakują drogę i znajdują się w gęstwinach lasu.

Jako naoczny świadek tego heroicznego czynu, przypomniałem sobie Racławice: i tu kosa dała dowód, co może, jeżeli nią włada ręka człowieka mężnego i odważnego.

Co godna podziwienia, to to, że w czasie całego tego szamotania się, tak szpica kozacka, jak również i cały oddział p. majora znajdowały się nieruchome; widok tego śmiałego i awanturniczego napadu tak jakoś na nich niekorzystnie podziałał, że w miejsce niesienia napadniętym pomocy, stali w miejscu jak słupy i pozwolili trzem ludziom z jedną kosą i dwiema pałkami położyć trupem z liczby cztérech kompletnie uzbrojonych konwojnych, dwóch. Późniéj sam pan major nie umiał sobie zdać sprawy z tego wypadku.

Śmierć tych dwóch służalców okrutnie przeraziła Mochów. Pan major zauważył jakoś, że uczynił krok za śmiały, rzucając się z tak małą garstką i w tak niebezpiecznych miejscach na ludzi, którzy i bez palnéj broni umieją zadawać śmiertelne ciosy, tém więcéj, że posuwając się śmiało, może być zaskoczony gwałtownie z tyłu przez strzelców Arcimowicza i Kotkowskiego, rozrzuconych po nad brzegami Bajkału, jak mówiłem, dla powstrzymywania w wylądowaniu

jego posiłków. To téż następuje tu chwila wahania się. Uprzątają trupów i wszyscy gromadzą się razem i dopiéro po namyśle rozpoczynają postęp.

Kiedy nasi zaczepili ich strzałami, jednocześnie i statki na Bajkale zaczynają się zbliżać ku lądowi i strzelcy nasi, rozpoczęli również ogień. Zaczęło się ogólne strzelanie. Assekuracya p. majora, przyjęta strzałami z lasu, nie widząc nikogo, do kogoby strzelać można, oddala się od brzegów i kończy na demonstracyi, kręcąc się na wodzie to w tę, to w owę stronę. Szaramowicz toczy bój z p. majorem do tyla, że słyszemy nareszcie wzajemne krzyki: hura! hura! a strzelcy, nie mając rozkazu opuszczenia swojich stanowisk, pozostają na miejscu.

W tem odbiéra Szaramowicz wiadomość, że Lisowski z z kozaczyzną już nie opodal urządza przeprawę przez rzékę, aby nań uderzyć z tyłu. Wiadomość ta ostudza zapał w ludziach, zasiewa zwątpienie, i cały oddział bez wydania odpowiedniego rozkazu strzelcom, porzuca plac boju, ratując się ucieczką w głębiny lasów. P. major dopatrzył tego, i chociaż nie miał o tém żadnéj wiadomości (a może i miał, nie wiém), domyślił się jednak, że musi im coś zagrażać z tyłu, kiedy na raz po tak śmiałych i energicznych napadach, ustępują. Korzysta z położenia i wydaje rozkaz ścigania. Naturalnie ściganie to nie może przynieść żadnéj krzywdy naszym, raz że siła p. majora była liczebnie znacznie mniejszą, powtóre, że rzecz dzieje się w gęstwinach lasu, w które zapuszczać się żołniérzom było niepodobieństwem; skończyło się więc tylko na krzykach i strachach ze strony Moskwy, która udając że goni, nie ustąpiła ani na krok z drogi. Tymczasem oddział posiłkowy p. majora objechawszy na statkach koryto rzéki Myszychy, wylądował bez obawy przed strzelcami naszymi, urządził przeprawę przez rzékę, i samym już wieczorem połączył się ze swojim dowódzcą.

Obiedwie tedy kompanie: Arcimowicza i Kotkowskiego pozostały w krytyczném położeniu, bo jeżeliby Moskwa potrafiła, albo lepiéj powiedzieć, umiała skorzystać z tego tak, jak mogła, to czekały ich albo wrzucenie w Bajkał, albo bój krwawy z trzykroć większą siłą, i to jeszcze bagnetów.

W nocy udzieliliśmy im sekretnéj wiadomości o tém, jak rzeczy stoją, i oni korzystając z ciemności, przebrali się szczęśliwie na drugą stronę drogi w lasy, postanowiwszy szukać reszty towarzyszów.

Tu już zamyka się przed naszym wzrokiem i słuchem dalsze działanie Szaramowicza. Rajner daje za wygraną, opuszcza szeregi, przybywa na powrót do nas, i niby jako nie mięszający się do niczego, pełni daléj swoje starostowanie, lecz opuścił szeregi nie po walce Szaramowicza, tylko zaraz po nieudanym napadzie na Lichanówkę, tak że kiedy przybył do nas p. major Ryk, on już znajdował się na miejscu między nami.

Cały oddział p. majora koncentruje się na stacyi Myszycha, i głosi z tryumfem, że powstańców zniósł bez śladu. To się dzieje dnia 12go Lipca 1866 roku.

Ci co mniéj więcéj sprzyjali powstaniu, dzień ten uświęcili pokorą i smutkiem, stronnictwo zaś pana barona i on sam okazywali radość i zadowolnienie. Uzuchwaleni nieszczęściem ludzie, którzy nie podzielali ich elastycznych przekonań, widząc na miejscu Rajnera starostą, bez wahania się, bez względu na cnoty obywatelskie, i z całą czelnością wytartego czoła, propagują pomiędzy znajdującymi się na miejscu zrzucenie Rajnera ze starostwa.

Znaleźli się tacy, którzy z całą odwagą wyrzekli zdanie o takim postępku, nazywając go po prostu łotrowskim, zabójczym, karygodnym, boć krok podobny w tym razie dla Rajnera nie był niczém innćm, jak piérwszym szczeblem do szafotu. Takie i tym podobne przedstawienia czyniło wielu nie powiém przychylnych Rajnerowi, ale uczciwych Polaków; ale to wszystko nie mogło powstrzymać ani p. barona Rücka, ani tych, którzy lizali jego talérze; oni robili swoje. Wiadomość o tém doszła do Mochów, a jakkolwiek de facto Rajner spełniał obowiązki starosty, bo nie mogli przecież na szczęście uzbiérać większości głosów, w przyszłości jednak ten fakcik dopełnił miary.

Dnia 14go Lipca wieczorem wydają rozkaz, aby cała partyja wyszła ze swojich schronień i zebrała się na drodze. W pół godziny już byliśmy tam wszyscy. Nie wiadoma skąd,

zjawia się przed nami kupa kajdan na ręce i nogi; zaczynają nas po szczególe ubiérać każdego w te ozdoby, i wprost z drogi prowadzą do Bajkału i wsadzają na łodzie, już w tym celu przygotowane. Łodziami dowożą nas do parostatku; tam nas lokują, i każdy w ubraniu, jak był, nie przygotowany, bez rzeczy, bez tłomoków płyniemy, gdzie? dokąd? nikt nic nie wié. O zabraniu rzeczy nie było co i myśléć; poczciwe zbiry postarali się wprzód o to, aby nam ulżyć w położeniu, i każdy z nas mógł wówczas powiedziéć, że *omnia mea mecum porto*. Nawet p. baron, ani żaden z jego lizaczy nie wyłączeni byli z tego ogólnego porządku i także nie wiedzieli, gdzie i po co jedziemy. Całą noc przebyliśmy na statku na Bajkale o chłodzie i głodzie, i p. baron nie zdążył już zabrać swojich smacznych zakąsek i musiał dzielić z nami ten los głodnego.

Rano 15go Lipca zwiększyła się liczba naszéj partyji na statku; przywieźli dwóch śmiertelnie rannych: Kobierskiego i Mączyńskiego, obydwóch z partyji nie-szlachty, która druga z koleji od Murymu po drodze ulokowaną była. Obadwaj ci młodzieńcy, nie mogąc się od razu zdecydować na wymarsz z Szaramowiczem, kiedy on tam przybył, schronili się chwilowo do lasu, a następnie, kiedy wszyscy wymaszerowali, oni i jeszcze jeden z nimi, Oraczewski, powrócili do swojich namiotów i zaczęli radzić między sobą, co robić? Wtém nadszedł z kozakami Lisowski i za piérwszém ich spostrzeżeniem wydał rozkaz, aby strzelać do nich. Skutkiem tego Oraczewskiego zabito, Kobierskiemu nogę przy saméj brzusznéj pachwinie, a Mączyńskiemu rękę prawą w ramieniu przestrzelono. Obadwaj ci męczennicy w kilkanaście godzin na statku zakończyli swój nieszczęśliwy żywot. Rany poczynione lancami głównie śmierć przyśpieszyły. Kłęby kiszek na wiérzchu ciała lancami były powyciągane.

My pływamy ciągle po Bajkale, ale jeszcze nie wiémy dokąd, aż dopiéro kiedy podwieziono nas pod Listwiniczną i zaczęto przesadzać ze statku na barże, dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Irkucka. Szesnastego tedy Lipca 1866 r., samym zmrokiem, rzéką Angarą przybijamy do lądów tego miasta. Na brzegach widzimy tłumy proletaryatu i kilku-

oporu i niechęci, ale usilnie żądano od niego wyjaśnienia, co myśli na ten rachunek partyja szlachecka na Myszysze, z czy przyjmuje udział w ruchach? — A kiedy Szaramowicz dał im słowo, że partyja ta czeka tylko na nas, zupełnie przygotowana, chętnie się przyłączyli do niego wszyscy, i w tak połączonéj liczbie, wynoszącéj z górą ludzi 250, maszerują wprost do Myszychy. Kawalerya stanowiła straż przednią, a dowódzcą jéj był niejaki p. Wroński, podobno, jak mi mówiono, mający rzeczywiste nazwisko Skonieczny, rodem ze Śląska, gimnazyasta wrocławski. Po drodze do Myszychy, spotykają jadących półkownika Czerniajewa i Szatza, inżeniera, przytrzymują ich i cofają do Myszychy, do saméj stacyi, gdzie miészkał nasz komendant Praszutyński, odległéj jeszcze od nas o wiorst siedm. Tam obu tych panów na tychmiast rozbrojono, zabrano im dwie dobre dubeltówki, dwa rewolwery i dwa pałasze, następnie zażądano od nich, aby jeżeli mają przy sobie rządowe pieniądze, takowe złożyli za pokwitowaniem. Ci widząc, że to nie żarty, spełnili z całą pokorą żądanie. Wiele na pewno złożyli pieniędzy Szaramowiczowi, nie wiém. — Wiém tylko, że on wydał im kwit ze swoim podpisem, gdzie się zatytułował naczelnikiem legionów wolnych Polaków w Syberyi. Temu samemu losowi uległ i komendant Praszutyński; oddał wszystkę broń palną i sieczną, jaką miał.

Zanim się tam załatwił ze wszystkim wódz naczelny, zjawiła się na parę godzin przed nim straż przednia u nas; rozpoczęto od rozbrojenia konwoju, co się z łatwością udało. Żołnierze, strachem przejęci, poddali się wszystkiemu, czego tylko od nich zażądano. Ruch ogólny i sympatyczny. Obok barona Rücka staje Lidermejer, uczeń kijowskiego uniwersytetu, naturalista, i zagrzéwa wszystkich do czynnego udziału. — Na razie zdawało się, że cała partyja bez szemrania połączy się z Szaramowiczem i podda się solidarnie wszystkim następstwom, złym i dobrym, jakie los zgotuje; ale jak trudném jest odgadnienie myśli ludzkich, tutaj się dopiéro wybitnie ta trudność ujawniała.

Przybywa do nas i Szaramowicz w otoczeniu swego sztabu; widzimy już Arcimowicza przy jego boku, a kiedy

ogłosił, że on, jako główny przewódzca tego co się dzieje, zaprasza całą partyją szlachecką do połączenia się z nim, pan baron Rück, obrażony w swéj dumie i nadziejach, nietylko że nie che słyszéć o niczém podobném, ale nadto przez skryte knowania za pośrednictwem najgorliwszych swoich agentów: Kozigrodzkiego, Suryna, Bajkowskiego, Głębockiego i innych, stara się usilnie wpływać na partyją, by porzuciła raz na zawsze myśl przyjmowania udziału w podobnych niczém nie dających się usprawiedliwić awanturach, które pod tak niedoświadczonym człowiekiem, jakim jest Szaramowicz, mogą nas tylko przyprawić o największe nieszczęścia.

Baron Rück obrażony do głębi duszy przewodnictwem w innéj a nie swojéj osobie wybraném, stwarza na prędce stronnictwo przesiąkłe piekielną myślą, że bądź co bądź należy zostać neutralném, a przyjdzie czas, że rząd to wynagrodzi.

I w takiém rozdwojeniu, jedni przechodzą na stronę Szaramowicza, drudzy otaczają pana barona, a inni znowu nie mogąc się zdecydować, co robić, chronią się po stronach, by uniknąć wpływów stron obudwu.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach, słychać tylko było wzajemne obelgi, groźby i roznamiętnienie. Ci co stanęli przy Szaramowiczu, otrzymali swoje przeznaczenia, a stronnictwo barona, żywiąc w sobie pewność nagrody ze strony Moskwy za neutralność, zdobywa się na różne sposoby podkopywania Szaramowicza, i na zadanie śmiertelnego ciosu tak jemu, jak i jego stronnikom. Piérwszą myślą tego neutralnego stronnictwa było: dopełnienie sekretnego spisu osób znajdujących się na miejscu i zakomunikowanie takowego uboczną drogą komendantowi Praszutyńskiemu, a że jak wyżéj nadmieniłem, przeważna część naszéj partyi niedecydowawanych, ukrywała się po lesie i tym sposobem na spisie sekretnym znajdować się nie mogła, wykaz więc taki, dostawszy się do rąk Moskwy, był wówczas nie czém inném dla nieobecnych, jak samym wyrokiem. Na takich zamieszkach zeszło dni trzy. Ogólna cyfra zgromadzonych przy Szaramowiczu wyniosła ludzi trzystu kilku dziesięciu, uzbrojonych częścią w wojskowe karabiny, częścią w broń myśliwską, rewolwery, pałasze, a przeważnie w kosy i lance; a że ogół

partyi, w półkolu Bajkału rozrzuconych, wynosił cyfrę 705 ludzi, połowa zatém nie przyjęła udziału w ruchach, i pozostała czy to na miejscach, czy też szukała schronienia po lasach.

Naturalnie, i sam Szaramowicz zwątpił, ale cóż mu już pozostawało oprócz awantur; wszak i za to, co się dotąd stało, czekała go kula, więc z prawdziwie lwią srogością chce spełnić piérwszą myśl swoję, i co będzie, to będzie, spróbować z garstką otaczających przejścia granicy, aby uniknąć prześladowania Moskwy. Celiński umieszczony został jako szef sztabu; Arcimowicz i Kotkowski otrzymali każdy osobno po kompanii strzelców, Rajner mianowany dowódzcą kawaleryji a Eliaszewicz przeznaczony na dowódzcę reszty uzbrojonych w kosy, lance i pałki. I z tak zorganizowaną siłą, zebraną razem pomiędzy stacyją Myszycha, w któréj kwaterował nasz komendant Praszutyński, a naszemi namiotami, Szaramowicz miał rozpocząć marsz starą drogą Kiachtyńską i daléj, jak wypadnie, naturalnie marsz rozpaczliwy, bo spodziéwać się należało, że będzie w przeszkody obfity; a że pozostawał jeszcze do rozbrojenia jeden konwój, otaczający partyą, jak wyżéj nadmieniłem, wysłaną z Murymu do Lichanówki, spełnienie więc tego polecono Rajnerowi i jego kawaleryi, co jednak się nie udało. Przed wymarszem należało naturalnie wprzód zrewidować rekonesansami wszystkie strony, z których grozić mogło niebezpieczeństwo, i właśnie rekonesans wysłany w stronę ku Posolskowi, styka się już z kozakami, zamienia kilkanaście wystrzałów i powraca z raportem. Owe kozaki była to szpica pieszego oddziału, z jakim major Ryk, dowódzca batalionu irkuckiego, przybył parowemi statkami po Bajkale do Posolska, i tam wylądował, aby zagrodzić drogę, po której spodziewano się że powstańcy postępować będą. Część tego oddziału poprowadził sam drogą nadbajkalską lasem, a drugą część wsadził na statki, które po nad lasem assekurowały go z Bajkału.

Tu już znalazł Szaramowicz przeszkodę od północno-wschodu; a że doszła go jednocześnie wiadomość, że i z tyłu postępuje za nim pułkownik Lisowski, dowódzca irkuckich kozaków, to jest od południo-zachodu, postanowił więc

oprzéć się o rzékę, zwaną Myszycha, wpadającą z gór leśnych od południo-wschodu do Bajkału, zniszczyć przewozy dla zabezpieczenia tyłu, i z oddziałem majora Ryka, idącym naprzeciwko, spotkać się oko w oko. Kompanie strzelców pod kierunkiem Arcimowicza i Kotkowskiego rozrzucono po nad brzegami Bajkału, aby razić strzałami i tamować tym sposobem wylądowanie posiłków majorowi Rykowi, a reszta oddziału, przygotowana i ukryta w lesie po nad drogą, którą Mochy maszerują, oczekiwała tylko nadejścia chwili, w któréj pod przewodnictwem Szaramowicza i Celińskiego zada cios nienawistnym ciemięzcom. Major Ryk postępował wolno, ostrożnie i z zachowaniem wszystkich wojennych reguł; urządził awangardę i ariergardę, nie mógł tylko zabezpieczyć sobie boków skrzydłami tyralierów, bo zwięzłość lasu i massa zwałów, pni, gałęzi, nie pozwalały na to. Przybywa nareszcie i do nas. Tu wszyscy przedstawiają mu się jako spokojni, nie przyjmujący żadnego udziału w buncie, a kiedy spostrzegł pana barona, odezwał się, iż rad jest bardzo, że go tu zastaje, gdyż w Irkucku i precz po drodze głoszą, że on stoi na czele ruchu. Potém uczynił p. baronowi zapytanie, kto rzeczywiście kieruje tém wszystkiém i gdzie się obecnie znajdują owe oddziały, na spotkanie których on tu właśnie przychodzi? Co mu odpowiedziano, nie wiém; domyślać się tylko można, że nie pozostawiono go bez dokładnego objaśnienia, gdyż p. major zostawiwszy, jak mówił dla naszego osobistego bezpieczeństwa, jednego ze swojich oficerów z kilkoma żołniérzami i całą bandę naprowadzonych ze sobą chłopów, z różnych stron zwołanych, uzbrojonych w gwintówki, topory, kosy i pałki, z ośm setek ludzi wynoszącą, sam z resztą żołniérzy i oficerów poszedł prosto tam gdzie rzeczywiście naši na niego czekali. W szpicy oddziału p. majora szedł oficer Parochow z trzema feldfeblami, poprzedzeni o kilkadziesiąt kroków kozaczyzną na koniach; za nimi zaś wolniutko i z całą ostrożnością sam p. major, a po za nimi znowu cały oddział. Całą siłę p. majora w tém miejscu składało 93 żołniérzy i kilku kozaków.

Z podkomendnych Eliaszewicza, bez wiedzy i zezwolenia jego, umówiło się trzech zuchów, aby podsunąć się nad

Coby tam było w Mongoliji? nie wiadomo, ale prawdopodobnie można było dokołatać się do jakiegoś punktu, w którym nie groziłoby nam to co dzisiaj tu.“

Wysłuchałem tych opowiadań cierpliwie i nie czyniłem żadnych uwag ani zarzutów, bo nie widziałem się ani z Szaramowiczem, ani z Celińskim, ani też z Arcimowiczem, z których każdy mógł mieć coś na usprawiedliwienie siebie.

W kilka dni potém zaczęto i nowych przybyszów wołać do komisyji śledczéj i wszystkich wysłuchanych wpuszczano między resztę dawniejszych, Kotkowskiego tylko, Celińskiego i Arcimowicza pozamykano każdego osobno. Tu dopiéro można było nasłuchać się różności opowiadań, a że te nie mają żadnego wpływu na znaczenie sprawy, więc je pomijam.

Pomimo osobnego zamknięcia wszystkich głównych czynników, nie obeszło się jednak bez tego, aby drogami ubocznemi nic dowiedzieć się czegoś; wiedzieliśmy więc: o co jich pytano w komissyji, co jim zarzucano, jak oni się tłomaczyli, i jakie mniéj więcéj każdy z nich może mieć widoki co do swéj przyszłości. Dochodziły nas te wieści po powrocie każdego z nich z komissyji. Rajner tedy, wezwany po raz trzeci, po powrocie komunikuje nam wiadomość taką: „Szaramowicz był pytany o to, czy wydawał mi rozkaz do spalenia Lichanówki; odpowiedział: że o niczém podobném nie słyszał; uznają mnie więc skutkiem tego za osobnego działacza na swoję rękę, i zapewne odpowiednio osądzą.“ Celińskiego i Kotkowskiego, jako oddzielnie z oddziałami złapanych, uznano także za oddzielnych dowódzców. Arcimowicz jeden tylko szczęśliwy, że znalazł się w ostatku przy boku naczelnego wodza i że razem z nim był przy kapitulacyi Wiérchnio-Udyńskiéj; jego nie mogą sądzić jako oddzielnego dowódzcę, lecz co najwięcéj jako przybocznego oficera.

Śledztwa nareszcie kończą; tworzy się sąd polowy, nazwany *głośnym;* prezesem jego mianowany zostaje jenerał Safijanow, a prokuratorem *ad hoc* pan Milutyn, podobno brat ministra wojny z Petersburga, pełniący tu w Irkucku obo-

wiązki Członka Rady Wyższéj przy jenerał-gubernatorze Wschodniéj Syberyi.

Głośny Sąd w Irkucku! Ta piękna z nazwiska Instytucyja, w rządzie i narodzie tak ciemnym, jak sybirskie, to parodyja, to tylko chęć rozgłosu a w skutkach małpowanie, nieznajomość rzeczy i brak przymiotów duszy, nawet do jakiego takiego naśladowania, czysta szykana z rzeczy poważnych, aby je zamienić na śmiészne. Nie powiém, żeby w Irkucku nie było ludzi, owszem jest jich liczne zbiorowisko, ale ci nie należą ani do rządu, ani do narodu; są to indywidua neutralne, exploatujące ciemnotę ogólną.

Zanim przystąpiono do sądzenia, zgromadzono naprzód wszystkich przed oblicza tego sądu dla wysłuchania aktu oskarżenia, zredagowanego przez pana Milutyna. O tym akcie będę mówił niżéj.

Następnie każdego z podsądnych stawiają przed sądem osobno. Prezydujący go uprzedza, żeby nie powtarzał tego co już raz mówił w komissyji śledczéj; że tu idzie głównie o nowe fakta, które tam mogły być pominięte, a mogą miéć wpływ na obronę.

Z koleji przychodzi przed sąd Władysław Kotkowski. Człowiek młody, niezwyczajnie energiczny, językiem ruskim dobrze władający (urzędnik komory warszawskiéj), i kiedy zaczął owemu wielkiemu sądowi dowodzić: że prawo we wszystkich zdarzeniach szuka głównie przyczyny; że właśnie tą przyczyną, jak w obecnych wypadkach jest sam rząd, bo ludzi szlachetnie urodzonych, odpowiednio wychowanych, wyrzucił jak bydło do lasu, nie zapewniwszy jim ani ludzkiego schronienia, ani pokarmów, i tym sposobem zmusił jich do rozpaczliwych kroków. Pan Safijanow odezwał się do niego rozkazująco *„perestańcie!“* Kotkowski na chwilę przerwał rzeczywiście dalszą obronę, a wtém kilka osób z obecnéj publiki odzywa się do pana prezesa, aby Kotkowskiemu dalszéj obrony nie tamował, ale owszem aby pozwolił najswobodniéj wypowiedziéć wszystko. Po takiém postąpieniu publiki, p. policmejster Dumański, czy z rozkazu czy z własnego natchnienia, nie wiém, wyskakuje na środek sali i grożąc podniesioną ręką publice, woła: *„wam tam małczać!“*

Ten jeden postępek wystarczy na określenie pojęcia, jakie miano wówczas w rządzie irkuckim o sądach *głośnych*, nie mówiąc już o wielu podobnych, jak np. zabronieniu każdemu z obwinionych przynoszenia za sobą obrony czy pośrednio, czy bezpośrednio, pomimo że każdy z nich tego się domagał. To téż po takim traktamencie co tylko znajdowało się publiki na sądzie, wszyscy na raz opuścili ławki i od tego dnia, oprócz samych wojskowych, nikt z publiczności sądów nie nawiedzał.

Tą samą drogą przeprowadzono wszystkich, i pozostało nam tylko oczekiwanie wyroku; jakoż w niespełna tygodni trzy, od chwili rozpoczęcia sądów rachując, dochodzi do nas wiadomość, że wyrok już zapadł, tylko został pod ostateczną konfirmacyą jenerał-gubernatora Korsakowa.

Sąd polowy zdobył się na wyrok téj treści:

Stworzył w nim trzy kategoryje winy: *piérwsza* obejmowała tych, którzy imiennie skazani zostali na śmierć; *druga* tych wszystkich, którzy przyjęli udział w zbrojném powstaniu, a osądzeni zostali na rozstrzelanie co dziesiąty, pozostali zaś na całe życie do ciężkich robót; *trzecia* tych których wyłączono z pod sądu.

Lecz konfirmacyja zmieniła go nie do poznania. Konfirmacyja z trzech kategoryji, stworzyła siedm, mianowicie: *piérwszą*, obejmującą skazanych na śmierć przez rozstrzelanie, to jest: Gustawa Szaramowicza, Jakóba Rajnera, Władysława Kotkowskiego i Celińskiego, którego imienia nie pamiętam; *drugą* tych, których osądzono na całe życie do robót; *trzecią* tych, których skazano więcéj jak na lat dziesięć do robót; *czwartą* tych, którzy mieli termina dziesięcioletnie; *piątą* tych, którzy mieli termina niższe lat dziesięciu; *szóstą* tych, którzy uznani zostali za podejrzanych i skazani na rok doświadczenia w zamknięciu i okuciu, a kategoryja *siódma* objęła tych, którzy wyłączeni zostali z pod sądu, to jest tych, którzy w czasie ścigania znaleźli się w szpitalach, przy kuchniach i piékarniach.

Téj osnowy konfirmacyją ogłoszono nam dnia 28go Listopada 1866, i jednocześnie wszystkim. Skazanym na śmierć posłano księdza, i tą to drogą otrzymałem jeszcze

raz ostatni od Jakóba Rajnera słów kilka, skréślonych ołówkiem na małym kawałku papiéru, które tu w kopiji zamieszczam. „16/28 Listopada 1866, godzina 5ta z południa ostróg-Sekretna. Podziękuj Ojcze pp. Rykowi, Gazigrodzkiemu, Bajkowskiemu i Głębockiemu za wszystko... bo jim to, a nie nikomu jinnemu zawdzięczam, co mnie jutro spotka; wszystko załatw', jak cię prosiłem, a dobrych kolegów pożegnaj odemnie na wieki.“ Do liczby cztérech jegomościów wymienionych w karteczce przedśmiertnéj Rajnera, jabym dodał piątego, p. Suryna; patrzałem własnemi oczyma na wszystkie jego zabiegi, aby podkopać spokój, a jak się pokazało i życie Rajnera; on był autorem owéj listy spisywanéj, kto się znajduje, a kogo brak na miejscu.*)

Dnia 29go Listopada 1866 r. doszła nas wiadomość o śmierci tych zacnych synów Polski przez rozstrzelanie; jak mi mówili naoczni świadkowie téj egzekucyji, ponieśli ją z męztwem, cechującem ludzi poświęcenia. Kotkowski przed samemi strzałami rzucił czapkę w górę i krzyknął: *„niech żyje Polska!“* a za chwilę padł pod ciosem kul odwiecznego wroga Polski.**)

Zaraz po dopełnieniu tego morderstwa, Moskwa zajęła się dość pośpiesznie wysyłką z Irkucka wszystkich osądzonych, jednych tu, drugich owdzie; część wywieziono za Bajkał do nerczeńskich kopalni, część po jakuckim trakcie do Wiercholeńska, a część do Alexandrowska Irkuckiego. To ostatnie miejsce mnie się dostało.

I na tém kończą się owe sceny, którym Moskwa nadała europejski rozgłos, przedstawiając je naturalnie w jak najkorzystniejszém świetle dla siebie, i zrzucając na nas wszystkie barbarzyństwa przez siebie spełniane.

---

*) Oczywiście musimy odpowiedzialność za to ciężkie obwinienie pozostawić autorowi. Przyp. Red.

**) Przypominamy przy téj sposobności piękny wiérsz wielkopolskiego poety, p. Zbigniewa Morawskiego, pod tytułem: *Finis Poloniae*, napisany na wieść o śmierci tych nieszczęśliwych synów naszéj ojczyzny. Umieszczony on był w *Dzienniku Pozn.*, a potém oddrukowany w zbiorze poezyi: *Z ubiegłych dni*, wydanym przez p. Z. M. bezimiennie w Lipsku. Przyp. Red.

dziesięciu żołniérstwa z bagnetami. Po wysadzeniu nas na ląd, spektatorowie bagnetowi raczyli nas zaraz otoczyć swoją opieką, a panowie oficerowie starali się w nas wmówić, że to jest konwój, który nas zabezpiecza przed rozgniewanym ludem, gotowym nas ukamienować. Na jile w tém było prawdy, nie wiém, ale się przyznam, że nie byłem daleki od uwierzenia. Przeprowadzono nas piechotą przez część miasta i na miészkanie przeznaczono ten sam budynek, z któregośmy przed miesiącem wyjechali, *kazionnaja pałata.*

Zmiana we wszystkiém nie do uwierzenia; ostatni służalec traktuje nas po psiemu, — co się zjawi ze starszyzny: nadęte, skrzywione i patrzące z pogardą. Ścieśnienia niepraktykowane. Dzień i noc zamknięci, okuci, karmieni pokarmami zgniłemi, i do tego dniem i nocą nieprzestannie alarmowani ciągłemi rewizyjami. Czegoż jeszcze ci panowie szukali między nami, chociaż każdy z nas tak był filigranowo ubrany, że najmniejszy przedmiot, jaki mógłby być przy nim, bez rewizyi byłby był widocznym? W takiém rozkoszném położeniu siedziemy sobie, nie ruszani z miejsca prawie mięsięcy dwa; dopiéro po upływie tego czasu zaczynają nas partyjami po kilkunastu pędzać do komissyi śledczéj. Dziwaczna ostrożność towarzyszyła temu, albowiem każdy powołany do komissyi, przechodził kilkakrotne rewizyje: piérwszą na miejscu, daléj przed więzieniem, w którém nas rozkuwano, przy wychodzeniu z więzienia po rozkuciu, daléj na odwachu przed komissyją śledczą, a na ostatek w saméj komissyji, i znowu po załatwieniu się z komissyją, przechodził temi samemi dróżkami, powróciwszy do punktu, z którego wyszedł, napowrót okutym, Ci, z którymi komissyja pokończyła badania, odsyłani byli na stałe pomiészkanie do zamku więziennego, gdzie również nie odmawiano tych samych przywilejów, z których korzystali w kazionnéj pałacie: tak samo okuci, zamknięci, bezustannie rewidowani i tak samo karmieni. Pominę tu opisywanie pasożytów, które się massami gromadziły i stanowiły niepośledni przyczynek do prześladowań moskiewskich, to tylko powiém, że piérwszém pytaniem, jakie mi zadano w komissyji śledczéj, było: „dla jakich to przyczyn partyja zrzuciła Rajnera ze starostwa?“

Rajner jest jeszcze między nami. W komissyji tłómaczy się: że jakkolwiek pod naciskiem gróźb musiał na chwilę opuścić swoję partyją, skorzystawszy jednak ze sposobności, powrócił na miejsce i tam wraz z jinnymi siedział spokojnie. Powoływał się w tym względzie tak na niektórych kolegów, jak również na samego p. majora Ryka, który go rzeczywiście zastał na miejscu; nie mniéj powołał się na konwój naszéj partyji, który jako zamknięty i ściśle dozorowany, nie widział i nie wiedział nic, co się w około działo. Pewnego dnia zażądano Rajnera powtórnie do komisyji, a kiedy stamtąd wrócił zmiészany, zgryziony, opowiadał następne kawałki. „P. baron Ryck stawał mi w komissyji na oczy i opowiedział wszystko, co ja mu opowiadałem, wracając około jego namiotu po niefortunnym napadzie na Lichanówkę; że zaś uczyniłem był wówczas wzmiankę o znajdującym się na Lichanówce żydzie liwerancie, który mógł mnie tam widzieć i poznać, więc pociągnął jeszcze na poparcie swego opowiadania i tego żyda; jeżeli tedy ów żyd potwierdzi słowa p. barona, to sznurek lub kula niezawodne. Ratowałem się, jak mógłem, skupieniem sił i powiedziałem: przecież w tłómaczeniu mojem znajdziecie panowie ślad, żem się nie wypiérał ani przyznawał do niczego; zmuszony byłem groźbami do wstąpienia na chwilę w szeregi Szaramowicza, i w téj to właśnie chwili w Lichanówce spełniłem jego rozkazy. Co będzie? nie wiém, ale że Szaramowicza nie ma, i nie będzie komu osłonić wszystkich podkomendnych, więc jak tylko kogo złapią za jakie takie fakciki, karać będą po wojennemu.“

W parę dni zabiérają z pomiędzy nas Rajnera i zamykają na jedynaka; przypuszczam, że ów żyd, siedzący dotąd cicho, nolens volens, przypuszczony został do dania świadectwa decydującego o losie Rajnera. Widzimy już tedy jednę wybitniejszą ofiarę.

Ale co się dzieje z naszemi wojakami, gdzie się obrócili, i czy Bóg miłosierny pozwoli im uniknąć drapieżności i repressyji? Nic nie wiémy. Czas jakiś upływa w spokoju, każdy, jak mu było wygodniéj i bezpieczniéj, tłómaczy się w komissyji; ten mówi prawdę, tamten ją wymija, a ów znowu idzie osobną drogą. Nareszcie przypędzono do Irkucka

i partyą Murymską, to jest tych, o których wyżéj wspomniałem, że przy piérwszych ruchach Szaramowicza wypowiedzieli mu posłuszeństwo i pozostali na miejscu. W liczbie tych panów większa część znajdowała się takich, którzy bardzo głośno dzwonili na to nabożeństwo, jakie odprawił w końcu Szaramowicz, podszepnięci jednak złym duchem zdecydowali się prędzéj na zdradę własnych braci, jak na wytrwanie do końca. Polokowano ich w ten sam sposób jak i nas, i wówczas dopiéro wszyscy ci rycerze doświadczyli, że złemu psu to wszystko jedno, czy chleba, czy kija. Co oni tam zeznawali w komisyji, to jest trudną do sprawdzenia, ale że niektórzy musieli poprzypinać łaty Szaramowiczowi, tego z następstw domyślać się można.

Po upływie miesiąca zjawia nam się przed oczy nowy widok bolesny:

Wprowadzają na podwórze więzienia gromadkę ludzi odartych, pokaléczonych, zgłodniałych, okutych na ręce i nogi, z pozoru więcéj do trupów jak do żyjących podobnych. Dowiadujemy się, że to jest część naszych wojaków, zbłąkanych w lasach, złapana przez rozesłane w tym celu straże; i co kilka dni ponawiały się te same bolesne sceny do tyla, że w niespełna pięć tygodni sprowadzono wszystkich do jednego mianownika. Jest już i sam, jak go Moskwa nazwała, ataman Szaramowicz, którego po sprowadzeniu, nie pozwolili nawet obejrzéć nikomu, tylko zamknęli na jedynaka. Są: Celiński, Kotkowski i Arcimowicz: wszystko to, jak i piérwsza gromadka, znędzone, pokaleczone i obdarte do ostateczności.

Ciekawość nie lubi wyczekiwać, więc téż jak tylko mogłem najśpieszniéj, postarałem o zejście się z Kotkowskim. Troszka drobnych ułatwiło tę schadzkę. Cóż mi tedy Kotkowski opowiada? Przenoszę to na papiér w skróceniu:

„Kiedyśmy strzegąc wylądowania assekuracyji majora Ryka, jak pamiętacie, nocną już porą dostali od was wiadomość, że Szaramowicz i Celiński porzucili plac boju i cofnęli się w lasy, nic nam z Arcimowiczem i naszemi kompaniami lepszego nie pozostało, jak spokojne wycofanie się z pomiędzy niebezpieczeństwa, połączenie się napowrót z nimi, i tam,

jak sądziłem, zebranie jakiéjś rady, co daléj czynić. Można przecież (mówił on) kontynuować projektowaną ucieczkę, i zryzykować się na wszystko, coby wypadło. Ale nieszczęśliwe losy inaczéj zrządziły. Nie nasze to lasy: kilka dni uporczywie szukaliśmy Szaramowicza, a gdy głód coraz silniéj krępować nas zaczął, widzimy, że myśl odszukania go i połączenia się jest mrzonką. Należało wprzód zabezpieczać się przed głodową śmiercią; rewidowaliśmy więc po drodze wszystkie bagienka, krzewy, zarośla i znajdywane tam czy młode kaczki, czy pisklęta po gniazdach, czy téż jagody, pożeraliśmy łakomie bez gotowania i pieczenia, tak na surowo, a w końcu widząc, że im mniejszą liczbą będziemy wędrować, tem lżéj nam będzie się wyżywić, rozdzielamy się na dwie partyje, i tak posuwamy się, sami nie wiedząc gdzie i dokąd. Arcimowicz szczęśliwy, zetknął się z Szaramowiczem i był już z nim ciągle, a kiedy nareszcie opuściła ich nadzieja doprowadzenia do celu ucieczki, zaświtała w miejsce téj myśl dobrowolnego zdania się na łaskę i niełaskę Mochom. Zostawiają tedy partyą w lesie, a sami przybywszy do Wiérchnio-Udyńska, przyprowadzają do wykonania kapitulacyją. Za jich partyją, któréj naturalnie miejsce przebywania wskazali, wysłano natychmiast oddział kozaków i żołniérzy, i kiedy ci jich odczekali, w miejsce poddania się, znaleźli opór. Nastąpiły strzały z obu stron, utrącono tam rękę Witkowskiemu, lecz koniec końców zgłodniałych i ledwie żywych okrążyli, powiązali, potłukli i do Irkucka odstawili. Celiński takoż wędrował osobno, a jakkolwiek trwał w postanowieniu, aby zdążać do granicy chińskiéj, głód jednak tam stawiał główne przeszkody, i dogoniły go zgraje kozaków połączone z chłopami Zabajkala, zrobiły to co wszyscy, to jest dobrze zbili, powiązali, okuli i do Irkucka odwieźli. I ja z moją garstką uległem tym samym losom; dostało się i mnie tyle, że na długo wystarczy; ale tego odgadnąć nie mogę, dla czego Szaramowicz opuszczając Myszychę, nie zabrał nas z nad Bajkału, i dla czego tak, jak było ułożoną, nie kontyunowaliśmy ucieczki razem. Przecież w takiéj sile łatwiéj było stawić jaki taki opór, i łatwiéj tém samém było przeprowadzić plan do wykonania.

W ostatku muszę jeszcze pomówić o samym wyroku, o jego konfirmacyi, a głównie o akcie oskarżenia, jako dziecku p. Milutyna.

Otóż ten wyższy nad wszystkie szykany akt oskarżenia, obejmuje w sobie pomiędzy wieloma niedorzecznościami, jeszcze i parę takich, które zasługują na to, aby o nich pomówić: Na przykład: wylicza straty, jakie powstanie Polaków zrządziło rządowi, i mówi: „przez zniszczenie wielu magazynów, w których mieściły się produkta do życia, jako i odzież tak zimowa jak letnia, rząd poniósł straty rubli trzydzieści sześć tysięcy.“ O Boże mój! jakież to kłamstwo! Całą szkodą dla rządu było spalenie przez Rajnera domu pocztowego na Lichanówce, w którym się zamknął konwój mający być rozbrojonym, i ztamtąd napadających raził strzalami. Polacy z żadnego magazynu ani składu, nie wzięli ani łuta prowiantu, ani też żadnego odzienia; ale że p. Milutyn potrzebował z szajką złodzieji umaczać nie źle rączkę w korzyściach, po zniesieniu się więc z nimi, rachował to za ubytki, czego nigdy tam nie było, a co być tam powinno. Szlachetne korzystanie z chwili! Setki nas patrzało własnemi oczyma na owe kłamane zapasy; widzieliśmy, że nigdzie nic nie było, i kiedy zażądaliśmy śledztwa, robiąc zarzut aktowi oskarżenia, to szanowny i zacny ówczesny rząd irkucki żądanie to uznał za nowy bunt. Że Polaków porządnie obrabowano, to fakt, bo każdy został w tém tylko, co było na nim; wszyscy znajdowali się na robotach, rzeczy porządniejsze mieli w zamknięciu, a każdy ubrał się w to co miał najgorszego. Pomiędzy siedmiuset z górą ludźmi, może połowa znajdowała się dość zamożnych; stosy kufrów, kuferków, futer pięknych, garderoby, bielizny, zegarków, książek, to wszystko znikło bezpowrotnie w rękach moskiewskich, a z nas porobili się powierzchownie sami nędzarze: odarci, nadzy, przedstawiający obraz, który uderzał o najdelikatniejsze uczucia.

Daléj ten sam akt oskarżenia, jak z jednéj strony miał na celu nieprawe zyski autora i szacherkę z liwerantami, tak z drugiéj nieludzką tendencyją utopienia w przestęp-

stwie jak największéj liczby Polaków. Tych wszystkich, których zastano na miejscach, p. Milutyn chce widziéć jako rezerwy, które w razie odniesionego zwycięztwa przez powstańców nad żołniérstwem, miały mu zadać cios ostatecznego zagładzenia. Myśl, którą mogła tylko zrodzić dusza tak bezecna, jak p. Milutyna; ztąd téż utworzyła się kategoryja *szósta*, która w bardzo małéj ilości miała w sobie ludzi, którzy zaledwie sympatyją tylko pragnęli powodzenia ruchów. P. Milutyn bez względu na tak wysokie stanowisko, jakie mu dano w téj sprawie, przeszedł swoją gorliwością w prześladowaniu nas, prostego więziennego strażnika; sądzę, że wystarczy na poparcie mojéj opiniji to, jak powiém: że nocną porą wpadał do więzienia i rozespanych odsłaniał z przykrycia na posłaniach, szukając kajdan na nogach lub rękach, a kiedy zdarzyło mu się złapać kogoś, co dla chwilowéj ulgi zdjęte miał kajdany, bez względu na nocną porę, odsyłał go zaraz pod ścisłym konwojem do kuźni dla powtórnego okucia. Moralizował nas, mówiąc, żeśmy się powinni wstydzić za takie lekceważenie prawa.

Konfirmacyja potwiérdziła treść wyroku co do orzeczonéj konfiskaty majątku tych którzy nie tylko na śmierć, ale i na roboty skazani zostali, czyli zaklamrowała w téj sentencyji kategoryje od *piérwszéj* do *piątéj* włącznie; widocznie, aby przeciąć możność upominania się o zwrot zrabowanych nam rzeczy; kwita byka za indyka.

Rzeczywiste szkody moskiewskie mogły wynosić maximum rubli tysiąc, a rzeczy zrabowane kilkuset osobom rubli kilkanaście tysięcy; któż więc tu zarobił? Może rząd? Nie! To zbiry jego, razem z p. Milutynem. Pomimo to, do ostatka konfiskowano wszystkie posyłki z kraju, tak w pieniędzach, jak i w rzeczach nadsyłane. Poczciwe rodziny dzieliły się z nami może ostatkami, a krwiożerczy rząd, odmówiwszy nam prawa korespondowania, konsumował to za nas. To téż utworzyli massę urzędników i urzędniczków do szczególnych poruczeń w sprawach naszych i uposażali tych panów hojnie. Na przykład Kupenko, główny nasz

opiekun, brał pensyji sześć tysięcy, a pomocnik jego, Milewski, trzy tysiące rubelków; to niby była służba zewnętrzna, a oprócz nich, po wszystkich biórach egzystował tak zwany *stół polski.* Wszędzie była jedna dążność kradzieży posyłek, pieniędzy i tworzenia rachunków, że na Polaków idą tysiące za tysiącami ze skarbu, a tonące rzeczywiście w kieszeniach złodzieji.

W takich pięknych warunkach pozostawali wszyscy Polacy politycznie zesłani, którzy tylko oglądali drogę w około Bajkału aż do roku 1868go.

Dopiéro od ukazu, wyszłego z Petersburga w tym roku, postać rzeczy zaczęła się nieco zmieniać. Kategoryja *szósta* odbyła już swoje *doświadczenie* w zamknięciu i kajdanach. Kategoryja *siódma* wraz z tymi wszystkimi, którzy nie byli drugi raz pod sądem, wyszła na *posilenie.* Konfiskatę co do kategoryji *szóstéj* zniesiono. Wszystkich zaś tych, którzy należeli do kategoryji *drugiéj, trzeciéj, czwartéj* i *piątéj*, wybierano ze wszystkich punktów i tak skoncentrowanych zesłano po nerczeńskich zawodach, czyli kopalniach. Kategoryją *szóstą* wypuszczano na *posilenie* w miarę, jak każdy kończył swój połowiczny termin robót, pozostały z ukazu roku 1866, a ci wszyscy, których wysłano na Bajkał, pozostawali tam aż do roku 1873.

Rok ten dopiéro przyniósł im ulgę. Wracał tamtędy z podróży zagranicznéj syn moskiewskiego cara, Aleksy, który dawszy przystęp do siebie tym nieszczęśliwym ludziom, wysłuchał cierpliwie jich przedstawień, i przekonawszy się przytém naocznie, co otacza ludzi mówiących do niego różnemi językami, dał jim słowo, że wstawi się za nimi do najjaśniejszego swego ojca i z góry jich upewnił, że wkrótce mogą się spodziéwać skutków jego wstawiennictwa. Jakoż rzeczywiście niezadługo nadszedł rozkaz z Petersburga uwolnienia na *posilenie* wszystkich ze sprawy Zabajkalskiéj, wyłączając trzech: Arcimowicza, Lidermajera i Eliaszewicza.

Wszystkich więc rozpuszczono na *posilenie* po irkuckiéj guberni. Eliaszewicz i Arcimowicz pozostają dotąd w robo-

tach, a Lidermajer z rozpaczy odebrał sobie życie przez zażycie trucizny.*)

Zakończono w Irkucku roku 1873.

---

*) We Lwowie ogłosił w r. b. 1870 inżynier p. Zygmunt Odrzywolski — książeczkę p. t. *Powstanie polskie za Bajkałem*, w której jako uczestnik i naoczny świadek onegoż smutne dzieje opowiada. Opis niniejszy uzupełnia opowiadanie p. Odrzywolskiego. Przyp. Red.